

BIAŁA GOŁĄBKA.

Józefat Nowiński.

BIAŁA GOŁĄBKA

Poemat dramatyczny w 5 aktach.

TOM I

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14.

—
1899.

Komputer



86410/1

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0126379

Доводено Цензурою,

Варшава, 30 Марта 1899 г.

W hołdzie szacunku najwyższego

Pani Maryi Filipowiczowej

na pamiątkę ofiaruje

AUTOR.

K-202/n / 86410

OSOBY DZIAŁAJĄCE.

- KSIĄŻĘ MOLENY.
BIANCA — jego córka.
LUCIA }
SILVIA } jej towarzyszki.
MARGRABINA MALFI — ochmistrzyni jej dworu
LAPI — doradca i przyjaciel księcia.
KSIĄŻĘ następca tronu Ferraty.
CARLO CARRARO }
GUIDO DI MASSA } panowie z Moleny.
LODOVICO LESCHI
CASTINIANI }
SZLACHCIC 1 y, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 } Szlachta
LENARO } Moleny.
BARTOLOMEO SERA — malarz nadworny księcia
Moleny.
MATTEA ROSELLI — kopista nadworny.
CELLI — budowniczy.
DOWMUNT — rycerz litewski.
PERETO — magnat neapolitański.

HERMAN VON HOCHBERG — rycerz niemiecki
SOTO — stary sługa Carrarów.
KOMENDANCI zamku i miasta.
NIEMIEC }
FLAMAND } szlachta cudzoziemska.
HISZPAN }
BAPTISTA }
VALENTINO } słudzy zamkowi.
FRANÇOIS }
BACHIO } słudzy Carrara.
PACHOŁKOWIE w winiarni.
WIEŚNIAK.
SŁUGA Pereta.

Rzecz dzieje się w Italii w epoce Odrodzenia.

A K T I.

Scena I.

Altana w ogrodzie po lewej stronie sceny.

BIANCA, SILVIA i LUCIA.

LUCIA (wchodząc).

Ależ to puszcza prawdziwa. Drożyna zapuszczona, altana zaniedbana! Możliwe pomyśleć, że tu nikt nigdy nie zagląda. Zkąd łaska twoja dla tego kąta? Tak daleko od pałacu.

BIANCA.

Nigdzie tyle cienia, chłodu i ciszy.

LUCIA.

Ach, księżniczko moja! Toć dla ciebie właśnie stworzono blask, żar i gwar. Mamże i ja milczeć, jak grób?

SILVIA (nie podnosząc głowy od robótki)

Jej wysokość ogromnie lubi ciszę.

BIANCA (do Lucii).

Szczebiocz, szczebiocz, szczebiotko! Stęskniłam się już do twojej paplaniny. Nie masz pojęcia, jak czekałam twego powrotu.

LUCIA.

Niby też to! Zabawa po zabawie: gdzież było raz chociażby wspomnieć?

BIANCA.

Wspominałam cię często, bardzo często.

LUCIA.

O Madona!

BIANCA (wstaje, kładąc robótkę, i powoli wychodzi z altany na prawo; Lucia jej towarzyszy; Silvia przeprowadza je oczyma).

BIANCA (cicho).

Przekonałam się: każde słówko moje, przekrecone najczęściej, powtarza całe miasto, a przecie nie takiego mądrego nie mówię. Ty przynajmniej robisz plotki o sobie tylko samej. (Idąc z powrotem) Brak mi ciebie było. Brak mi było twego humoru. Nie miałam do kogo zagadać. (Przy wejściu do altany) Tak nudno czasem, tak smutno.

LUCIA.

Komu to się skarżyć? Na zamku się roi młodzież najświetniejsza, drży on od tańców i wiwatów.

BIANCA.

Takam sama wśród tego tłumu.

SILVIA.

Królowie, jak bogowie, są sami w górze, bo śmiertelnicy—u ich stóp.

BIANCA.

Jakże żałuję, że mnie los na tę górę lodową rzucił. (Wchodzi znów do altany i bierze robótkę) Hołdy etykiety są jak słońce zimowe, co błyszczy a nie

grzeie. Wciąż mi się zdaje, że wszystkimi względem mnie kieruje rozsądek i próżność, i tęskno mi do serca.

SILVIA.

O! Wszystkie serca biją tylko dla waszej wysokości.

LUCIA.

Silvia ma słuszność: któżby śmiał ciebie nie kochać? Nie trzeba kręcić główką. Ale—mowa o kochaniu. Na wsi dognała mnie wieść o bliskich zaręczynach... Czegóż się zachasz? Masz szczęście. Książę Alfons—chłopiec, jak malowanie.

SILVIA (z naciskiem).

Jego wysokość książę następca tronu Ferraty—wspaniałomyślny to i mądry pan.

LUCIA (do Bianki).

Słyszysz? Ale wszystkie dziewczęta boją się z początku małżeństwa czy męża, a księżniczki—śnać też są dziewczętami.

SILVIA.

W naszej rodzinie nabożnie przechowuje się wiara, że osoby takiego rodzaju są istotami wyższymi.

LUCIA.

Widzisz? Nawet Silvia mniema, żeś powinna być wyższą ponad strach małżeństwa. Ach, pani moja śliczna! Niech wasza wysokość nie patrzy tak smutnie. Nikt przecie gwałtem waszej wysokości do ołtarza nie powlecze.

BIANCA.

Choć ty daj pokój tytułom. Tak mi już wszystko zbrzydło.

LUCIA.

To nudno, to smutno, to zbrzydło! I tak mówić o najpiękniejszej młodzieży świata.

SILVIA.

Jej wysokości nie mogą obchodzić byle jacy młodzi ludzie

LUCIA.

Nie tak, jak nas z tobą, Silvio?

BIANCA

Wciąż jedno, i to samo. Zgóry wiem zawsze, kto jak mi się skłoni, jak spojrzy, jak przemówi. Mniejsi—to niewolnicy, gotowi na skinienie moje leczyć ból zębów krokodyła. Większych—olśniewam, nawet palę. Śmiały miele językiem i pożera wzrokiem, bojaźliwy wzdycha i rumieni się, a wszyscy kłamią.

LUCIA.

Co to—to nie! Chciałabym widzieć człowieka, któryby cię zobaczył i nie zakochał się na zabój.

SILVIA.

Całemu światu wiadomo, że piękniejszej od waszej wysokości niema na ziemi, i jego wysokość książę następcą...

BIANCA.

Ach, Silvio kochana! Patrz, złamałam igłę.

SILVIA.

Natychmiast, wasza wysokość. (Kłania się ceremonialnie i wychodzi).

LUCIA.

Na twojem miejscu byłabym wyrozumialsza. Ja tam swoich wielbicieli wolę nie wywracać podszewką do wierzchu.

BIANCA.

Pokazują mi ją sami.

LUCIA.

Przedewszystkiem zaś—radzę ci się zakochać.

BIANCA.

Iście przednia rada!

LUCIA.

Czegóżes się przełękała? Wierzysz może bredniom o mękach i grzechach miłości? Wszystko to wymysły babek i mnichów, naprawdę zaś niema miłszego zabicia czasu, niż kochanie. Nie dostrzegasz naprzykład we mnie zmiany?

BIANCA.

Zrobiłaś się jakgdyby jeszcze bardziej gadatliwa i pusta.

LUCIA.

Cóż znów!... Zresztą to tak z nadmiaru życia:
jestem zakochana.

BIANCA.

I któż jest tym szczęśliwym?

LUCIA.

Najwspanialszy osobnik rodzaju męskiego na
ziemi, zakochany we mnie przytem, jak kot.

BIANCA.

Czy myszy z miłości łowi, czy może zamiast
pod—nad balkonem piszczy?

LUCIA.

A co za wąsy! co za zęby!

BIANCA.

Koniowi jego też może nie brak żadnego.

LUCIA.

Jednem słowem dzielny rycerz — od świetnego
pióra na kapeluszu do ostróg dziedzicznych.

BIANCA.

Ostrogami dziedzicznymi pochwali się byle ko-
gut, choć pióra nosi nie na kapeluszu.

LUCIA.

Zato kochanek mój przewyższa gęstością czu-
pryny niejednego króla.

SILVIA (wchodząc i z ukłonem ceremonialnym po-
dając igłę).

Jej miłość, margrabina Malfi, ciotka moja, prze-
prasza waszą wysokość za opóźnienie się swoje.

BIANCA.

Nie gniewam się wcale. Pewno ją ktoś od-
wiedził.

SILVIA.

Tak jest, wasza wysokość. Jej miłość, druga
ciotka moja, hrabina Neri, przybyła do Mołeny. (Siada).

LUCIA.

Zmartwiłaś mnie, Bianco!



BIANCA.

Sądząc z miny twojej—niebardzo.

LUCIA.

Niby też to zawsze tylko plotę od rzeczy My-
slisz, że nie potrafię się martwić? Nie dalej, niż ze-
szłej nocy, tak mi się smutno zrobiło: ażem płakała.

BIANCA.

Śniło ci się tylko zapewne, żeś płakała?

LUCIA.

Ależ nie.

BIANCA.

Cóż ci więc było?

LUCIA.

Alboż ja wiem? Serce mi się ścisnęło. Nie
spalam całą noc.

BIANCA.

Znaczy, żeś się z kwadrans kręciła w łóżku,

przed snem, marząc (do ucha, półszepem) o piórach
i ostrogach.

LUCIA.

Zartujesz sobie ze mnie, a przecie naprawdę
czasem niby się nic nie myśli, a tak się jakoś ciężko
zrobi na duszy...

BIANCA.

Zadużoś może zjadła na kolację?

SILVIA.

Doktór Sosio odradza zwykle jego wysokości
zbyt obfity pokarm na noc.

BIANCA.

Widzisz, Silvia się ze mną zgadza. Ale oto co
znaczy mówić o smutku: już mi się nasuwa na duszę,
jak chmura na księżyc. Zaśpiewaj mi co lepiej. Rę-
czę, żeś przywiozła zapas nowych piosnek.

LUCIA.

Ja? przy tobie? Za nic w świecie. To ty za-
śpiewaj tę swoją piosnkę, tę ostatnią... Ale możesz tu

bezemnie tuzin cały nowych skomponowała. No, śpiewaj co chcesz, byle o miłości.

BIANCA.

O miłości?... Ach, nie, nie! Nie jestem usposobiona.

LUCIA.

Zwykła wymówka. Nigdy się bez oporu nie poddasz. Czy tak będzie zawsze, we wszystkim i ze wszystkimi?

BIANCA (wskazując oczyma Silwię).

Nie pleć, terkotko, nie pleć.

LUCIA.

Zaśpiewaj, Bianco! Zaśpiewaj, Bianco! zaśpiewaj, Bianco! Będę do nocy powtarzała, nie przestawiając wyrazów: zaśpiewaj...

SILVIA (przerywając).

Jeżeli jej wysokości nie podoba się śpiewać w tej chwili, to zdaje mi się...

BIANCA (do Lucii).

Dobrze już, dobrze. Ustępuję dziś dla twego przyjazdu.

LUCIA.

Ach, jakaś ty dobra. (Bianka chce śpiewać) Znów cię usłyszę. Jak ci te wszystkie piosnki przychodzą do głowy?

BIANCA.

Nie przeszkadzaj ze mi! (Chce śpiewać).

LUCIA.

Ach, śpiewaj, śpiewaj! Bo, widzisz, po całych dniach czasem marzą mi się twoje piosnki... Milczę już, milczę, jak sama cisza. (Bianka znów chce śpiewać) Ani słóweczka więcej. Słucham już, słu... (zatyka sobie usta dłonią).

BIANCA.

Tak najlepiej. (śpiewa).

Ktoś mi szeptem do ucha.

Co? Nie wiem. Tylko słyszę:

Szept—tajemniczy,

Jak miłość.

Ktoś mi szeptem do ucha.

Kto? Nie wiem. Tylko czuję,

Że to ktoś—piękny,

Jak miłość.

Ktoś mi szeptem do ucha.

Czy to kwiatom wiatr szeptem

Słóweczka — dziwne,
Jak miłość?

Ktoś mi szeptem do ucha.
Czy to skrzydła szeleszczą
Mych marzeń — trwożnych,
Jak miłość?

SILVIA (zrywając się).

Wasza wysokość! Słyszałam Braniniego, którym zachwycają się królowie i dwory, ale wobec śpiewu cudnego waszej wysokości...

BIANCA (przerywając).

Silvio droga! Ty zawsze wszystko umiesz znaleźć: zapomniałam koszyczka z jedwabiami.

SILVIA.

Wasza wysokość zbyt wiele czyni mi zaszczytu. Natychmiast.

BIANCA.

Ach, przepraszam cię, Silvio! Jakieżem niedomyślna. Tybyś też pewno chciała z ciotką swoją,

hrabiną Neri, pogawędzić. Przyślij mi więc jedwabie, a nie zapomnij powiedzieć hrabinie, że rada ją zobaczą... Za jakie pół godziny przyjdę. (Silvia kłania się ceremonialnie i wychodzi).

BIANCA (po chwili, do pogrążonej w zachwycie Lucii)

Słyszysz? Jakieś głosy... i kroki.

LUCIA.

To chyba wiatr się zerwał i próbuje piosnkę twoją powtórzyć. (Nasłuchuje) A może. Tak, tam w głębi... Pewno ogrodnicy, bo któżby tak wcześniej...

BIANCA.

Czy to nie ostróg brzęk? Uciekajmy.

LUCIA.

Prawda. Schowajmy się za altanę. Ktoby to mógł nadchodzić z tamtej strony? (Znikają w zaroślach za altaną).

Scena 2.

(Wchodzą: Carraro, Dowmunt, François)

CARRARO (u wejścia do altany).

Nikogo. Ztąd chyba leciał śpiew. Tu słyhać było głosy. (Wchodzą do altany)

FRANÇOIS.

Nawet robótki porzuciły, uciekając. Tam chusteczka leży: czy wziąć na pamiątkę?

CARRARO.

Co za głos! co za melodia! Jakąż postać musi mieć istota, co tak czuje? Czemże byłaby jej miłość?

FRANÇOIS (próbuje pochwycić melodyę).

„Jak miłość“!...

CARRARO (gniewnie tupie nogą).

A!... (Wychodzą, rozglądając się, potem Carraro wraca do altany i siada, opierając głowę na ręce).

FRANÇOIS (skrada się, żeby zajrzeć do altany, i wraca do Dowmunta).

Wasza cześć! A toć pan mój wcale się nie zabra do odwrotu. Zapewne, przy takich rycerzach kije mi w cudzym nawet ogrodzie nie grożą, ale nim reszta służby nadjedzie, temu osłu Bachiowi konie tam uciekną.

DOWMUNT.

Powiedz o tem swemu panu.

FRANÇOIS (zagłada, jak poprzednio, do altany i wraca).

Ładniebym wyszedł. Taki zamysłony. A tam trzos przy mojem siodle: przeszło półtora tysiąca dukatów.

DOWMUNT.

Zdaje mi się, żeście w Rzymie trzy tysiące dostali?

FRANÇOIS.

Gdzie Rzym, wasza cześć, a gdzie Molena.

DOWMUNT.

Dwa tygodnie temu.

FRANÇOIS.

Ileż złota i wody może upłynąć przez tyle czasu.

DOWMUNT.

Obgubiliście się, czy was okradli?

FRANÇOIS.

Ani jedno, ani drugie. (Znów zagląda do altany)
A jego miłość siedzi — jak w domu.

DOWMUNT.

Przegrał więc w kości pan twój?

FRANÇOIS.

Nie sam przegrał, to przegrali za niego inni.

DOWMUNT.

Jakto? Czy ty grywasz za niego?

FRANÇOIS.

Jeszcze nie, ale zaledwośmy się z waszą cześcią rozstali — co to jeszcze wasza cześć Ojca świętego chciała zobaczyć — zapłaciliśmy w Viterbo pieśset dukatów za jakiegoś szlachcica, który więcej stawiał, niż miał — bodajby nań Madona ani razu nie spojrziała za życia.

DOWMUNT.

Trudno, za przyjaciela...

FRANÇOIS.

Alboż to był przyjaciel?

DOWMUNT.

...lub choć znajomego.

FRANÇOIS.

Pan mój pierwszy raz go wtedy widział.

DOWMUNT.

Musiało tam coś być.

FRANÇOIS.

I było. Tak mi żal było tych dukatów, żem nie wytrzymał... a jego miłość jak nie krzyknie: „chcesz, ośle, żeby się szlachcic porządny obwiesił dlatego, że mu kości nie dopisały?“ Nie śmiałem nawet powiedzieć, że on taki porządny, jak ja osioł.

DOWMUNT.

Hm!

FRANÇOIS.

Mało mamy wydatków? Tu w karczmie na wesela natrafimy, więc się narzeczoną wyposaża; tam żebrak ładną piosnkę zaśpiewa — ot jak i teraz na przykład. Gdzieindziej znów jakaś baba nie ma z czego podatku zapłacić. (Znowu zagląda). Oho, mój pan się przysłuchuje. Nawet wiatru niema.

DOWMUNT.

To naprawdę... Hm!

FRANÇOIS.

Alboż wasza cześć nie widziała sama? Żebyż

sakiewka tylko cierpiała, ale jego miłość za byle kogo lba też nadstawić gotów. Już to przyjaźń go za drogo kosztuje, i gdyby nie był pierwszym rycerzem świata...

DOWMUNT.

Czy nie do mnie czasem pijesz, pacholku?

FRANÇOIS.

Cóż znów! Czyżbym śmiał? Zapewne, waszej cześci pan mój też uratował życie, ale to całkiem co innego.

DOWMUNT.

Przecie mnie też nie znał.

FRANÇOIS.

O święty Franciszku z Asyżu! Jakże wasza cześć może się równać z byle kim? Powiedziałem wyraźnie, że jego miłość gotów się byle komu na szyję rzucić.

CARRARO (zbliżając się).

Co ty tam o mnie łziesz, François?

FRANÇOIS.

Łgę? Bodajbym zgłupiał, jak Bachio, jeżeli łgę. (Carraro, nie słuchając, odchodzi ku przeciwnej stronie sceny). Zresztą lepiej jest niekiedy rzucać się, niż rzucać. Łatwiej znaleźć dany pocałunek na ustach, niż wydawnego dukata w sakiewce.

CARRARO (wracając).

Znikły, jak duchy. Ach, zobaczyć ją! Ileż tajemnych dziwów i cudów musi być w duszy, która tak śpiewa trwożne swe marzenia.

DOWMUNT.

Mało śpiewałeś sam tryumfów i smutków miłości chociażby przed laty, jako paź i śpiewak księżny...

CARRARO.

Choćbym miał zginąć, choćby mnie dyabli żywcem wziąć mieli!...

DOWMUNT.

Tak się przejmować głupią piosnką, zasłyszaną zdala?

CARRARO.

Co? Dziki północne będą decydowały o pieśniach słonecznych? Otwieraj usta, kiedy masz powiedzieć: koń, broń lub cnota.

DOWMUNT.

No, no! Myślisz, że u nas pieśni nie śpiewają. I ty, szczęśliwce po tysiącu przygód po wszystkich krajach świata...

CARRARO.

Wyobrażasz sobie, że w tułactwie można znaleźć szczęście? Ty się włóczysz, dopóki cię to bawi, ale masz kąt własny, gdzie wolno ci dać duszy znużonej wypoczynek wśród swoich, gdzie w kalectwie nawet lub obłędzie znajdziesz ratunek i litość. Ale być, jak żóraw znużony nad oceanem, nie mając nigdzie gniazda na całej tej wielkiej ziemi... Wszyscy obcy, wszystko obce...

DOWMUNT.

Komu to mówić! Gdzie się zjawisz, wszyscy wnet na wypródkę...

CARRARO (z gestem niecierpliwym).

Ech! Ci ze strachu, tym robotnik potrzebny do żniwa krwawego.

DOWMUNT.

Zapewne, niema nad dom rodzinny.

CARRARO.

Dom rodzinny! dom rodzinny! Tyś szczęśliwy a ja?... Z Hiszpanii do Francyi, z Francyi do Germanii, i z powrotem, i w kółko, a tęsknota rośnie i rośnie...

DOWMUNT.

Zato sława...

CARRARO.

Oddałbym całą sławę, byleby choć ujrzeć tę co śpiewała przed chwilą. Dorzuciłbym jeszcze wszystko, co miałem, mam i mieć będę. (Odechodzi).

FRANÇOIS.

I nie znaczyłoby to przepłacić, gdyby tylko jego

miłość zatrzymał na wszelki wypadek tę resztę złota — bo cóżby rozdawał? — i konie — bo cóżbyśmy siodłali? Przyszłe ziemie teżby się przydały przyjaciółom. To zaś, co jego miłość miała — może wasza cześć wie gdzie? — oddałbym i ja za byle co, skoro dziś tego mieć nie można.

CARRARO (wraca).

Na nieszczęsny tu przyjechali.

DOWMUNT.

Konie gotowe: tylko zawrócić.

CARRARO.

Byłoby to najrozsądniejsze. Chodźmy! (zwracając się ku altanie). Bywajże mi zdrowa, słodka śpiewaczko. Daj mi Boże cię ujrzeć. A może lepiej byłoby inaczej się modlić: Boże, nie daj mi jej zobaczyć? Może to sama... Park książęcy! Ale nie! W takim ustroniu.

FRANÇOIS (uderzając rękami po kolanach).

Park książęcy!

Biała gotówka. Tygod. dodatek bezpłatny do „Gazety Polskiej“.

CARRARO.

Tak rano! Pewno dworskie...

FRANÇOIS (przysiadając i składając ręce).

Wasza miłość!... Park książęcy! Wasza cześć.
Święty Franciszku, ratuj. Wasza miłość, uciekajmy!
Park książęcy!!...

CARRARO (surowo).

Milcz, głupcze i wynoś się! Czegóż się włókl za
nami? (François ucieka).

DOWMUNT (po pauzie)

Nie mamy tu co robić.

CARRARO (machnąwszy ręką)

Prawda. Chodźmy. (Odchodzą).

Scena 3.

LUCIA (wychodząc z Bianką zza altany)

Poszli gotować się do drogi: szczęśliwej podró-
ży! Co to? Żal ci ich może? którego? Pewno tego
niedźwiedzia jasnowłosego, co się tak poznał na twoim
talencie. A może cię oczarował głos giermka? Ręczę,
że rycerz jego ma nie gorszy. (Po chwili) Myślisz, że
oni naprawdę wyjadą? Niech mi wtedy urośnie bro-
da dwa razy dłuższa, niż u najstarszego dziada
w Italii. Uważasz? Zaklinam się, jak ten giermek.
Stawię głowę przeciw makówce, że zostaną.

BIANCA.

Cóż to nas może obchodzić? Nie znamy ich.

LUCIA.

Zapewne. Musisz jednak przyznać, że przystojny
to pan.

BIANCA (przymuszając się do wesołości)

Nos ma między oczyma, a uszy z boków. A zębom czyś się przyjrzała?

LUCIA.

Żartuj zdrowa. A co za służa! Dałabym złamany szeląg, żeby mieć takiego sługę, jak pan tego osła. Co za oko!

BIANCA.

Dwoje.

LUCIA.

Aż tyle naliczyłeś? To dobrze, bo widząc twoje wzruszenie, zaczynałam się bać.

BIANCA.

Czego?

LUCIA.

Bądź co bądź, trudno o postawę wspanialszą twarz piękniejszą, a takie śpiewające i marzące

o miłości dziewczęta... Bez Silvii wolno tak powiedzieć, co?

BIANCA.

Co?

LUCIA.

Czy należy się bać, widząc, jak płomień zbliża się do prochu?... Ależ ty wcale nie słuchasz. Bianco! Bianco! Czy wierzysz w miłość od pierwszego spojrzenia? Bo mnie łatwiej byłoby uwierzyć w miłość tylko do drugiego spojrzenia, niż zwątpić o tem. Bianco!

BIANCA (budząc się z zadumy)

Co?

LUCIA.

Pytam już pół godziny: czy wierzysz w miłość od pierwszego spojrzenia?

BIANCA.

Od pierwszego spojrzenia? Nie myślałam o tem.

LUCIA.

To pomyśl, Bianco, póki czas.

BIANCA.

Zaczekaj, zaraz... Myślę, że przy świetle błyskawicy można odczuć urok krajobrazu, któryby cię nie oczarował przez długą noc. Tak i dusza ludzka. Czasem — tak myślę — rozwiera się na mgnienie, jak czeluście morza, ukazując otchłań szlachetności i tęsknoty.

LUCIA.

Jak to powiedziane!

BIANCA.

Czyż nie logicznie?

LUCIA.

Aż do zbytku. Ta właśnie logika mnie przeraża.

BIANCA.

Przeraża cię logika?

LUCIA.

Przedewszystkiem nie do twarzy ona młodej i pięknej księżniczce, powtóre — droga to do największych głupstw.

BIANCA.

Co za wriosek!

LUCIA.

Wzorowy. Wielebym dała, żeby się tak zjawili byli w porę ogrodnicy. Dopieroż byłby popłoch!

BIANCA.

Tak myślisz?

LUCIA.

Ty zaś masz tych gości nieproszonych za istoty bezstraszne, nie wyłączając sługi.

BIANCA.

W każdym razie to, cośmy słyszały o tym najwyższym...

LUCIA.

...i najpiękniejszym.

BIANCA (z uśmiechem wymuszonym)

Zresztą samo wejście do tego ogrodu dla takiej...
błahostki..

LUCIA.

Dobrze, dobrze, sofisto! Notujemy więc wszystko, dostrzeżone w otchłani przy świetle błyskawicy: szlachetność, postawa, tęsknota, piękność, mądrość — oczywiście sługi — dwoje oczu, odwaga... I co tam jeszcze? Gotowaś może uwierzyć też w sławę tego rycerza, która pewno nie ustępuje posiadłościom jego. A zauważyłaś, jakie miał buty?

BIANCA.

Nie patrzyłam na nogi.

LUCIA.

Ani braku guzika u kaftana nie dostrzegłaś?

BIANCA.

Nie patrzyłam na kaftan.

LUCIA.

Ani na kapelusz? Tylko w otchłań. Niechże cię Madona ma w swej pieczy, piękna księżniczko.

BIANCA.

Amen.

LUCIA.

Ręczę, że zobaczymy twego bohatera na przyszłym balu że bowiem namyśliwszy się, zapomni tu drogi, nie ulega...

Scena 4.

CARRARO (wchodzi).

LUCIA.

Ach!

BIANCA (zrywa się i staje ze spuszczonei oczyma oparta ręką o stół).

CARRARO.

Przepraszam kornie, jeżeli przestraszył was, panie. Jestem biednym, aczkolwiek znakomitego rodu cudzoziemcem.

LUCIA.

Jakżeście się tu dostali, biedny, aczkolwiek znakomitego rodu cudzoziemcze?

CARRARO.

Zdaje się, przez mur.

LUCIA.

A jak się wam zdaje, znakomity, aczkolwiek biedny cudzoziemcze, czego tu szukacie?

CARRARO.

Wjeżdżając do miasta, usłyszałem śpiew, i pociągnął mnie, jako ómę płomień. Jesliłm skrzydła

opalił, proszę śpiewaczkę o cztery słowa w pacierzu porannym.

LUCIA.

O jakie słowa?

CARRARO.

Boże, bądź mu miłościwi!

LUCIA.

A czemu w porannym?

CARRARO.

Gdyby mię śpiewaczka pod noc wspomniła, nie zasnąłbym pewno.

LUCIA.

Skromność wasza przejmuje nas podziwem. Nie wątpimy, że domyślność jej nie ustępuje: któraż z nas śpiewała?

CARRARO.

Ta, której mowy nie słyszę.

LUCIA.

Wybornie. Gdybyśmy miały więcej czasu, poprosiłabym cię, Pityo przedziwna, o powrócenie, czy wyjdę za mąż tego roku.

CARRARO.

Tak, jeżeli mąż się trafi.

LUCIA.

Wybornie. A czy wiadomo ci, Pityo czarująca, że spacery tu grożą gościom nieproszonym rozmaitemi drobnymi przykrościami, w rodzaju więzienia lub stryczka. Do ogrodów zamkowych ćmom cudzoziemskim ani krajowym zalatać niewolno. Radzę więc waszej biednej znakomitości wynosić się ztąd, póki to można uczynić zdrowo i cało.

CARRARO.

Boję się tylko Boga i bólu tych, kogo Kocham. Żegnam was, panie, i błagam o przebaczenie.

LUCIA.

Idźcie, panie, gońcie przebaczenie: pobiegło ono przodem do waszego mieszkania.

CARRARO (kłaniając się)

Żegnam (wychodzi).

LUCIA.

Żegnamy, żegnamy. (do Bianki) Ach, żeby też margrabina lub Silvia były w porę nadeszły, lub choć przysłały owe...

BIANCA i LUCIA (podnoszą głowy, wsłuchując się z nateżeniem).

CARRARO (śpiewa za sceną)

Serce — jak czara pełna!

Do mych uszu doleciał

Śpiew dziwny, słodki —

Jak miłość.

LUCIA (klasnąwszy w dłonie)

Ależ to waryat prawdziwy! Śpiewać tu!

CARRARO (jak przedtem).

Serce — jak czara pełna!...

Wzrok mój spotkał spojrzanie

Trwożne a cudne —
Jak miłość.

LUCIA (po chwili milczenia)

Bianko! ten szaleniec śpiewa nie gorzej od ciebie.

BIANCA (jeszcze się wsłuchując w zamarłe dźwięki)

Chodźmy! (Zatrzymując się nagle po paru krokach)
Lucio!

LUCIA.

Czego chcesz, księżniczko?

BIANCA.

Nie mów o tem nikomu.

LUCIA.

O czem, Bianco?

BIANCA.

O [tych... cudzoziemcach. Proszę cię... bardzo.
Bo, widzisz, ojciec się dowie: znajdą ich. Może... stać
się nieszczęście. Dobrze? Jeżeli mnie kochasz.

LUCIA.

Zakłęłaś mnie w rybę. Ale co cię oni obchodzą?
Co za głos! Wiesz, Bianco, co mam do powiedzenia
twojej wysokości? Jesteś zakochana!

BIANCA.

Oszalałaś, moja droga? (odchodzą).

(Zasłona).

Scena 5.

Izba zajazdu.

CARRARO i DOWMUNT.

CARRARO.

A więc, najmędrzy z polskich rycerzy, zamie-
rzasz przyjąć wraz ze mną służbę u księcia Moleny?

DOWMUNT.

Uhm! (Znak głową potwierdzający)

CARRARO.

I masz postanowienie mówienia przy sposobności Sarmeńczyków?

DOWMUNT.

Nie wszystkoż mi jedno kogo?

CARRARO.

A co zrobisz, jeżeli ja opuszczę Molinę, jak tylko wojna się rozpocznie, i przejdę na stronę Sarmy.

DOWMUNT.

Hm!

CARRARO.

Nie mrucz, jak niedźwiedź z tych tam twoich puszczy, ale gadaj po ludzku.

DOWMUNT.

Byłoby to źle.

CARRARO.

Nie pytam, jakby to było, tylko cobyś wtedy zrobił?

DOWMUNT.

Nie przystoi rycerzowi zdrada.

CARRARO.

Mów-że z takim ptakiem wyuczonym. Więc nie poszedłbyś za mną do Sarmy?

DOWMUNT.

Wolałbym tam iść odrazu.

CARRARO.

Czy ty rozumiesz, człowieku, co to jest fortel wojenny?

DOWMUNT.

Hm!

CARRARO.

A gdybym ci powiedział, że książę Moleny obraził mnie, skrzywdził, zrabował, że wrogiem mi on najstraszliwszym?

DOWMUNT.

Pocóż więc mamy z takim rakarzem się zadawać?

CARRARO.

Z koniem twoim łatwiejby się rozmówił, niż z jego panem. To mi dopiero domyślność. Właśnie jako przysły wódz Sarmańczyków dowiedzieć się chcę wszystkiego: jakie siły, jaki duch panuje na zamku i w mieście, jakie plany i nadzieje?

DOWMUNT.

Dziwnie tu u was. U nas szpieg jest szpiegiem a hetman hetmanem.

CARRARO.

Mądry będzie, kto tobie coś wytłumaczy. Bądź więc łaskaw żadnych tu obowiązków nie przyjmować.

Jesteś niby przejazdem, w drodze do domu. Rozumiesz?

DOWMUNT.

Uhm! (znak głową)

CARRARO.

Czy pamiętasz bajeczkę o tym młodym magnacie, który zjechałszy się u bramy zamkowej z synem swego księcia, nieznanym sobie jeszcze...

DOWMUNT.

Zabił go, broniąc poszczutego żebraka. Carlo Carraro!.. Opowiadałem to już nieraz innym.

CARRARO.

Dlatego też proszę: zapomnij o tem w Molenie. (Pólszeptem, z naciskiem) Ze mnie taki Francuz, jak i z ciebie, a imienia mego tu się nie wymawia.

DOWMUNT.

Więc ty jesteś tym?.. Słuchaj, szalony, jeżeli cię poznają.

CARRARO.

Dwanaście lat miałem, kiedy niesnaski z księciem Moleny zmusiły ojca mego do przeniesienia się do dóbr matki do Hiszpanii. Od tego czasu bawiłem w Molenie zaledwo parę godzin, kiedy przyjechał przed siedmiu laty dla objęcia dziedzictwa.

DOWMUNT.

I wtedy właśnie?.. Więc o ciebie ta wojna?

CARRARO.

I wtedy właśnie... O mnie ta wojna. Za kilka tygodni będę władcą tego pięknego kraju.

DOWMUNT.

I oddasz za to księciu Sarmy hrabstwo Leggio? Gdyby kto za jedną piędź ziemicy naszej...

CARRARO.

Dziś się daje, jutro odbiera. Bez tego nie pomógłby mi. A duże księstwo warte jest małego hrabstwa. Pewien magnat tutejszy, Di Massa, naj-

straszniejszy wróg księcia, zapewnia, że tu wszystkie stany są za mną.

DOWMUNT.

Więc iść prosto na zamek...

CARRARO.

Ale dodaje, że dwa gwoździe lepiej trzymają, niż jeden. Zresztą gdyby ci hrabiowie Di Massa nie byli też w niezgodzie z całą prawie arystokracją.

DOWMUNT.

Wolałbym zginąć...

CARRARO.

Zginąć i nie pomścić się? Czy ty rozumiesz, że on zburzył mój zamek, wymordował sługi, nawet mego wychowawcę, który mnie tak kochał...

DOWMUNT.

Czy ta dziewczyna, którą widziałeś w ogrodzie książęcym, nie jest właśnie siostrą tego zamordowanego przez ciebie?..

CARRARO (żachnąwszy się).

Oszalałeś! Ubrana była, jak biedna szlachcianka. Jeżeli z nich która była księżniczką, to prędzej ta, co mnie wygnała—śmiała i strojna. Ta moja—to, majestat tylko wdzięku i skromności. Zresztą bywały przykłady, że nawet zabójcy ojców zaślubiali córę ich, żeby mocniej siedzieć na tronie. Jeden z królów rzymskich... Albo Cyd...

DOWMUNT.

To były czasy pogańskie...

CARRARO.

Niby Cyd?...

DOWMUNT.

Takaby potem zabójcę męża gotowa była zaślubić. Zresztą byłoby to źle.

CARRARO.

Mówiłem ci nieraz: szpaka można jednego w razę nauczyć. Zresztą jest chyba panną dworską

i to nieobeznaną jeszcze ze dworem. Nieśmiała... smutna... cicha... Nie, nie!

(Zastona)

Sceńa 6.

Taż sama altana. BIANCA, CARRARO (wchodzi).
BIANCA (zrywając się i rzucając ku wyjściu).

Ach!

CARRARO (przykłęka i wyciągniętymi błagalnie rami-
nami zagraadza przejście).

BIANCA (cofa się i po chwili drżącym głosem)

Co was przywiodło?

CARRARO.

Jedna piosnka i jedno spojrzenie.

BIANCA (znowu po chwili).

Kto jesteście?

CARRARO.

Szaleniec, który kocha.

BIANCA (po nowej pauzie).

Czego chcecie?

CARRARO.

Miłości.

BIANCA (szybko).

Puście mnie.

CARRARO (Żartobliwie, chwilami deklamacyjnie, chwilami z uczuciem szczerem).

O pani moja. Wróg ci drogę zawala? Ugodź go słowem wzgardy lub gniewnym wzrokiem, a przejdiesz swobodnie po trupie zdrajcy. Ta ręka przyjacielska wbije wnet sztylet (opiera dłoń na główni) do śmiertelnej już i bez tego rany.

BIANCA.

Wiecież, co wam tu grozi?

CARRARO.

Na cóżby mi się przydało, choćbym się nawet umiał bać sług czy żołnierzy? Gdyby tu za każdym krzakiem stała sama śmierć z kosą, musiałbym krążyć, jak dotąd, dokoła tej altany, do której mi się wcisnęła cała ziemia i całe niebo: jak żyć bez nich? O pan! po sprawiedliwość i miłosierdzie przychodzę. Wielka krzywda mi się stała. Miałem nadzieje świetlane—w olów mi się obróciły: miałem zamiary ze stali najhartowniejszej—gną mi się dziś, jak źdźbło trawy, lub kruszą, jak próchno; miałem serce o skrzydłach orlich, któreby się smoków nie ulękło, a teraz tłucze mi się w piersi ptaszę kwilące a rwące się trwożnie do słodczy ust twych dziewczycych. I któż się uzali?

BIANCA (szeptem)

Boże! Boże!

CARRARO.

Bożej mocy przeciw natrętowi wzywacie? Ufaj-

cie własnej: dość ruchu niecierpliwości. Myślicie: zbój straszny, a ja mią nadrabiam, patrząc w oblicze wasze, jak pies pokorny. Bo też nie o błahostkę, w rodzaju bitwy lub uczty, chodzi. Ale cóż pocznę? Powtarzałem sobie: obruszy się, nie pozna,—i oto trzecią już noc czyham, jak wilk, w tych zaroślach, gdzie mnie południe zastaje.

BIANCA.

Nie znacie mnie nawet.

CARRARO (podnosząc się)

Ja was nie znam? Kogóżbym znał? Słodka twarz matki nigdy nie była wyraźniej wyryta w sercu mojem, niż wasza. Głos ojca nigdy mi tak nie brzmiał w duszy, jak wasz. Cóż znaczy obszar czasu, który może być nikły, jak dym, lub zbity, jak marmur. Któż obliczy, ile się go zmieściło w ciasn. formę kilku dni, przez które nie rozstawałem się z wami ani na chwilę. Hałas nieznośny słów ludzkich przygłuszał mi tylko słowa wasze niesłyszane. Głosy przyrody wtórowały tylko brzmiającej w duszy melodyi. Szedłem — zbliżaliście się, aby, znikłszy nagle, znowu się zbliżać. By-

łem sam — marzyłem o was. Zamykałem oczy — widziałem was. Usypiałem — śniłem o was. Któżby was znał, jeśli ja nie znam? Któż skwapliwiej odda życie wam czy za was? Kto spokojniej i radośniej złoży u stóp waszych nietylko łozy, lecz i cześć swoją rycerską? Kaźcie mi zaprzysiądz na prochy ojców prawdę każdego słowa waszego, a zaprzysięgnę w dodatku, że oczy wszystkich piękności, jakie widziałem, zdają mi się teraz oczami krów i małp. I chyląc przed wami serce niżej, niż inni głowy przed Sakramentem Przenajświętszym, miałbym was nie znać?

BIANCA.

Pozwólcie mi odejść, panie.

CARRARO.

Śmiałbym uczynić, jakgdybym uznawał za możliwe, by istota nadziemską zniżała się do prósb przed niewolnikiem swoim? Mnie to raczej czołgać się przed tobą, o pani, z błaganiami. Ze wzrastającą namiętnością). I błagam, błagam!... Błagam, pozwól mi zostać u nóg twoich, pozwól choć zrzadka po-dnieść ku oczom twoim wzrok nieśmiały. Pozwól

całować tę ziemię, podnózek twój, marzyć pod niebem tym, baldachimem twoim, oddychać tem powietrzem: może kiedy zamieszka w mej piersi cząstka twego tętnienia. Pozwól się modlić do ciebie, śpiewać o tobie, tęsknić, płakać, i wołać, i umrzeć. Pozwól kochać! (Dolatuje zbliżający się śpiew Lucii).

BIANCA.

Uchodźcie, panie, uchodźcie, na miłość Boską.
Zastaną was.

CARRARO.

Niech mnie zabiją! Kocham, kocham i kocham.
Kocham tak, że gdybym od wschodu do zachodu tyśiącem przysięg i słów najczulszych mówił o miłości swojej, — byłaby to kropla nadebrana z oceanu.

BIANCA (Śpiew Lucii coraz bliżej)

Panie! Narażacie i siebie, i mnie!

CARRARO (podnosząc się)

I was? Przyjdę po zachodzie.

BIANCA.

Nie, nie. Nie bywam sama... (śpiew bliżej) Jeżeli mnie choć trochę... (składając ręce) jeśliście życzliwi...

CARRARO.

A więc po wschodzie księżycal

BIANCA.

Dziś niepodobnal

CARRARO.

A więc jutro po wschodzie księżycal (Znów szybko przyklęka, całuje rąbek jej sukni i wybiega).

BIANCA (cisnąc dłońmi skronie)

On mnie kocha! On mnie kocha! On mnie kocha!

Scena 7.

LUCIA (wbiegając)

Cóż za wczesna z ciebie ptaszyna. Ale czegoś ty taka blada, księżniczko moja?

BIANCA.

Nic, nic... (Po długiej chwili złapawszy dech). Czyś zauważyła dziwny wyraz oczu... (urywa).

LUCIA.

Czyich? Czy nie tego biednego cudzoziemca? (Bianca milczy z pomieszaniem). Jakto, od rana zaraz o nim? Może ci się też śnił?

BIANCA.

Czym ci powiedziała? Wyobraź sobie: całe to nasze pierwsze spotkanie... tylko trochę inaczej.

LUCIA.

Pierwsze! A więc były następne? Nawet ina-

czej? O święta Lucio! A nie mów-że o tem tak głośno!

BIANCA

Czemu?

LUCIA.

Nie wypada dziewicy śnić o mężczyznach: załotnikowi twemu książęcemu mogłoby się to nie podobać? Żeby mu tak szepnąć dziś o tem przy zabawie? Straciłby humor na cały wieczór.

BIANCA.

Kochając, chciałabym, żeby gardzili i nienawidzili mnie wszyscy, czyja cześć i miłość stałaby między mną a ukochanym.

LUCIA (drgnąwszy, żywo)

Bianko! czy to o tym?..

BIANCA (potwierdzając głową z uśmiechem)

Śmiałażbym się sprzeciwić twoim rozkazom i przepowiedniom? Masz, czegoś chciała: kocham.

LUCIA.

Przedewszystkiem radziłam ci kochać się, nie zaś kochać.

BIANCA.

Czyżbym więc zadobrze wykonała twoją wolę?

LUCIA.

Żeby ten waryat wiedział, że księżniczka Mole-ny zartem chociażby tak o nim mówi!... Bóg wie, coby mu się ubrdało i czego by się zachciało. A włóczy się wciąż, jakby na złość, mimo zamku, a zagłada.

BIANCA (zrywa się)

Widziałaś go znów?

LUCIA.

I to ty? ty? Co się z tobą dzieje?... Ileś ty już razy go widziała?

BIANCA (jąkając się)

Cztery czy pięć.

LUCIA.

Wart-że on twego kochania?

BIANCA.

A któż wart?

LUCIA.

Nikt, nikt.

BIANCA.

Więc kochać nie należy wcale?

LUCIA.

Zależy od tego, jak. Półzartem—czemużby nie?

BIANCA.

Możesz i masz słuszność. (Po chwili). Ale nie dla mnie.

LUCIA.

Otóż to! Tybys potrafiła zapomnieć, że to szlach-
cie pospolity.

BIANCA.

Pospolity? Nie wiem, jak się nazywa, ale czuję, że to wielki rycerz wielkiego serca.

LUCIA.

Według ciebie dość mieć łgarza za pachółka...

BIANCA.

Jak dumnie stąpał wczoraj koń jego. I ta gawiedź na twarz nie pada. Głupi tłum, co się tłoczy dokoła każdej karocy złoconej...

LUCIA.

Jakto? Tak o nędzarzach swoich ukochanych? Z jednym sługą tylko...

BIANCA (przerywając).

Widziałże świat tryumfatora wspanialszego?

LUCIA.

Bianko! Bianco! (Długo patrzy na nią w osłupieniu). Czy ty drwisz ze mnie? (Po chwili gorąco). Czy ty wiesz, kto on? Może to jakiś rycerz nowożytny,

który, nie mogąc się mieczem państw dobić, chce przez ciebie... Księżniczka mu się marzy.

BIANCA (żywo).

On nie wie nawet!...

LUCIA.

Nie wie? A z kąd ty wiesz, że on nie wie? Więc naprawdę?... Mówiłaś z nim?! (Bianca milczy). A więc!... a więc! (Wybuch płaczem).

BIANCA (składając ręce).

Cicho, cicho!

LUCIA.

A ja ci przysięgam, że on się domyślił. (Wychodzi płacząc).

BIANCA (sama).

A może! A może! Tylko o księżniczkę... Lucio!... Ale nie, nie! Ani razu mnie nie nazwał...

(Zastłona).

AKT II.

Scena I.

Jasna noc.

Przy altanie CARRARO (siedzi z głową opartą na ręku). BIANCA (wchodzi).

CARRARO (zrywając się).

Wasza wysokość, raczcie!...

BIANCA (cofając się).

Ach! (Po chwili). Za księżniczkę bierzecie mnie, panie? Pomyłka to okrutna. Jestem tylko jej towarzyszka.

CARRARO (zmieszany).

Jakto? Wy nie jesteście?...

BIANCA (z goryczą).

Wszystkież dziewczęta winny być córami władców?

CARRARO (jakby do siebie).

Czarne oczy przy jasnych włosach...

BIANCA.

Tem was w błąd ludzie wprowadzili? Prawda, mam takie same oczy, jak i... jej wysokość. Niestety, najprostszą ze śmiertelniczek jestem. (Chce odejść).

CARRARO (z ogniem, zastępując jej drogę).

Najcudniejszą ze śmiertelniczek! najbardziej boską ze śmiertelniczek. (Nagle z przestrachem). Więc to nie wyście wtedy śpiewali? (Smutnie i nie dając czasu na odpowiedź). Ale teraz to już wszystko jedno.

BIANCA (żywo).

Śpiewałam ja.

CARRARO (radośnie).

Wy? Wy?!... Mówiono mi, że to księżniczka właśnie ma głos cudny.

BIANCA.

Wszyscy mówią że... jej wysokość śpiewa daleko piękniej... odemnie.

CARRARO.

Głupcy! Pochlebcy nędzni! Alboż to możliwe? O pani moja!...

BIANCA.

Jestem tylko biedną, choć... dobrego rodu dziewczyną.

CARRARO (przyklękając i składając ręce, jak do modlitwy).

Czyżby gronostaje dodały uroku bogini? Dla córki cesarza byłoby zaszczytem brzeg twej szaty ucałować. (Chce pochwycić rąbek sukni, Bianca się cofa).

BIANCA (jakby jej tchu brakło).

Tak się cieszyicie... żem nie tem, za coście mnie mieli. Byłabym mniej godna miłości, gdyby posągiem moim był tron Moleny?

CARRARO (zrywa się i zbliża ku niej).

Zostałabyś cudem cudów, zostałaś sobą, i kochałbym cię zarówno w purpurze, jak w odzieży prostaczek. Ale...

BIANCA.

Ale co?

CARRARO

Nie wiem. Nie mogę powiedzieć. Ale... ale tak lepiej.

BIANCA.

Dlaczego?

CARRARO.

Zato ci powiem, że czy chcesz, czy nie chcesz — jam twój na śmierć i życie. Ach, kochaj mnie! I tys

nie księżniczka! A ja, głupiec, cały dzień dzisiejszy dręczyłem się... (Chwyta jej rękę). Słuchaj! Uchodź ze mną!

BIANCA (wrywa rękę).

Ja? z wami?!

CARRARO.

Nie chcesz? nie chcesz? (Po chwili). Myślisz: „czemuby się on nie miał rodzicom o mnie pokłonić?” Zajrzyj do serca mojego: nożem ci je otworzę, jeśli nie wierzysz, że prawe. Nie daliby ciebie... wygnać-cowi. Nie mógłbym im odkryć... co mnie czeka. Ale tobie przysięgnę wobec Boga i kapłana, co nas połączy, że ci dam los świetniejszy, niżby ci najbogatszy pan Moleny mógł przyobiecać.

BIANCA.

Nie dbam o to.

CARRARO.

Terazby ciebie nie dali... przybędzie, ale kiedyś—prędko—błogosławić będą sami... Uciekajmy. Kiedyś wrócimy... prędko...

BIANCA.

Nie, nie!

CARRARO.

Mamże wciąż drzeć, że mi cię kto zabierze, że nas wyśledzą, że... coś się stanie. I czemu?...

BIANCA.

Nie mówcie o tem. Niepodobna. Wnetby dostrzegli.

CARRARO.

Moich koni nawet konie księcia nie dogonią.

BIANCA.

Nie, nie mogę, nie mogę! Nie!

CARRARO (smutnie).

Nie kochacie mnie? nie wierzycie? Nie znacie mnie, prawda!

BIANCA.

Ach, wierzę i... i... ale nie mogę, nie mogę.

CARRARO.

Kochasz? kochasz?

BIANCA (z wysiłkiem, przez łzy).

Przyszłam wam to powiedzieć, ale... nie śmiem.

CARRARO (rzucając się ku niej).

Więc kochasz? (Bianca się usuwa) Drżysz cała?
Boisz się?

BIANCA (cicho).

Tak.

CARRARO.

I czego? czego? We mnie tyleż dla ciebie niebezpieczeństwa, co w pobożnym pielgrzymie dla obrazu cudownego.

BIANCA.

Sama nie wiem, czego. Coś mnie ciągnie do was, i boję się, was się boję. Gdyby mi kto mówił... przysięgał, żeście... żeście zły człowiek, nie chciała-bym słuchać. A wiem, że nie znam was. I tak dzi-

wnie. Co ja tu robię... sama w nocy? A mogłamże nie przyjść? Niby lunatyczka... Gardzicie mną pewno?

CARRARO.

Jak więzień zgnębiony mrokiem stęchłym swego lochu gardzi aniołem, co otwiera przed nim wolne pola i lasy, góry i morza.

BIANCA.

Mówicie tak do mnie, chociażem nie księżniczka?

CARRARO.

Od stada królewien odwróciłbym się dla twojej łzy lub uśmiechu. Kopnąłbym nogą cały wór koron królewskich, bylebyś mi powiedziała: „kocham cię i nie boję się,“ bylebyś!... (Urywa i odstępkuje, opuszczając wyciągnięte ku niej ramiona). Nie, nie śmiem, nie śmiem! (Uderza się w czoło). Ja nie śmiem!

BIANCA.

Czy to sen?

CARRARO.

Tak, sen, sen, stokroć prawdziwszy od rzeczywistości. Jak mi w nim zmalowało, jak mgłą zaszło wszystko wczorajsze. Jestem jak wyrobnik, co kopiąc glinę skarb znalazł.

BIANCA.

I dla mnie też wszystko się zmienia. Kocham i już dumna i szczęśliwa jestem, że kocham.

CARRARO.

Madona!

BIANCA.

Teraz mi wstyd, żem się tak modliła o chmury z deszczem i gromem. Ale kiedy sierp księżycy srebrząc się pomknął ku górze, usłyszałam wyraźnie głos, co mnie wołał, — i pobiegłam... Wyśmiejecie mnie pewno.

CARRARO.

Jak pustelnik wyśmiałby Madonę, gdyby doń zstąpiła podczas modlitwy gorącej.

BIANCA (z przestrachem).

Nie trzeba bluźnić! nie! Tak słodko mi słuchać i patrzeć... Serce takie pełne szczęścia, jak czara z waszej piosnki. Co mi tak dech zapiera: rozkosz, czy strach? I wy drżycie. Czy też boicie się? Jesteśmy pewno występni.

CARRARO.

Jak występny jest słowik, którego pieśń namiętna brzmi w tej ciszy nocnej. Słyszysz, jaką czystą modlitwą wzbija się ona ku niebu. Patrz, jak czule pieści śpiewaka jasny wzrok księżycy! Spójrz na lzy zachwytu na rzesach kwiatów, które na skrzydłach tej pieśni — kadzielnice żywe—ślą ku tronowi Boga swoje westchnienia upajające. Widzisz? Słyszysz? To naszą tęsknotę, nasz zachwyt on śpiewa. I oto promienne oczy aniołów mrugają na nas radością niezmierną. Słyszysz, jak szemrzą liście? Nasz szept zbudził wiatr nocny, i opowiada on drzewom i krzewom cudną baśń naszej miłości. To nam one ślą wszystkie te skinienia życzliwe. I jaki dziwny świat cały. Jak przepojone wszystko dźwiękami i blaskami zachwytu. Kocham cię!

BIANCA (po chwili).

I jużes zamilkł. Jakiś ty sam dziwny, jaki piękny. Kto natchnął słowa twoje mocą czarodziejską? Jak puchy kwietne grubym kobiercem ziemię one usłały... Niby wonią róż powietrze niemi nasiąkło. To ich dźwięki płoną migotliwie nad nami, to one łkają z zachwytu w ciszy nocnej, one szemrzą tajemniczo, srebrząc liście, one opadły brylantami na kwiaty i trawy. Już się nie boję. Kocham i nie boję się. (Carraro otacza ją ramieniem, patrząc w jej twarz). Już nawet puchów kwietnych pod stopami nie czuję. W uścisku, jak jedna gwiazda spadająca lecim w bezmiarze, a światła niebieskie — uśmiechy Boże — witają nas, przelatujących mimo, jak chwila marzenia.

(Zastona).

Scena 2.

BIANCA, margrabina MALFI, SILVIA i LUCIA.

(Ranek).

MALFI.

Jakże się dziś spało ptaszynie mojej królewskiej?

BIANCA.

Dziękuję wam, margrabino, ale oto siostrzyczka moja Lucia ma oczy w podkówkach.

SILVIA.

Może znowu sprawa kolacyi, chociaż wczoraj mieliśmy piątek.

MALFI (wybuchając tłumionym śmiechem).

Ach, ty mała! Z cicha-pęk!

LUCIA.

Lepsza świeża ryba na kolacyę, niż dowcip odgrzewany na śniadanie.

SILVIA.

Przy śniadaniu nie dopisuje ci apetyt?

LUCIA.

Do świętych ryb czy dowcipów—nigdy.

MALFI (zżyma się—potem ze słodyczą wesołą do Bianki).

A jakże tam serduszko waszej wysokości? Drży na myśl o przyszłej niedzieli?

BIANCA (kładąc rękę na sercu).

Drży, margrabino.

SILVIA (jednocześnie marmocze niewyraźnie, odchodząc na stronę. Słychać wyrazy).

...niesłychane..! kucharką...

MALFI (do Bianki).

I ma czego. Ten bal zaćmi wszystko, co oczy nasze kiedykolwiek oglądały.

BIANCA (rzucając robótkę, radośnie).

Naprawdę? Ach, jak to dobrze, jak to dobrze!

LUCIA (ze zdziwieniem).

Tak się cieszysz? z balu?

BIANCA.

Cieszę się, cieszę jak szalona.

MALFI.

I ma wasza wysokość czego. Owo serduszko drżące czuje coś może? Królownę czeka tam królowanie z pewnym pięknym królewiczem...

BIANCA (przerywając).

Czy wasza druga siostrzenica, hrabianka Neri, przyjedzie też na tę zabawę?

MALFI.

Oczywiście. (Do Silvii i Lucii) Moje panny! może-
byście się zajęły teraz... wiecie już czem.

SILVIA i LUCIA (jednocześnie).

Słucham, ciotko.

Słucham, margrabino. (wychodzą).

MALFI.

Chciałam powiedzieć waszej wysokości słów parę, to też, chcąc usunąć Lucię, musiałam też oddalić to takie przywiązane do waszej wysokości, takie oddane dziecko...

BIANCA.

Wdzięcznam Silvii za tę dla mnie życzliwość, z kąd jednak nieufność taka względem Lucii?

MALFI.

Wasza wysokość jest tak dobrą, że za dobrą jest nawet dla tych, którzy dobroci jej wcale cenić nie umieją.

BIANCA.

Miałoby się to stosować do Lucii?

MALFI.

Znam słabość waszej wysokości dla tej panny, którą zresztą sama lubię bardzo, i gdyby obowiązek wierności nie nakazywał mi być bezstronną i szczerą... Mogę nie widzieć pustoty i złośliwości, która (z naciśnięciem) nic i nikogo nie uszanuje? Nie wyobraża sobie wasza wysokość, jak to poczciwe dziecko, Silvia, ma jej za złe poufalość względem swej pani.

BIANCA.

Ależ Lucia stosuje się w tem do mojej prośby.

MALFI.

Może uczucia nasze są już zacofane i śmieszne — przy najmniej są tacy, co tak mniemają — lecz nie dalej, niż wczoraj, to dobre dziecko, Silvia, powiada do mnie: „Ach, ciotko droga! Gdyby mi jej wysokość sama kazała mówić do siebie, jak do prostej dziewczyny, prędzejbym chyba umarła, niż usłuchała: przecież to tak, jakby Madona!“

BIANCA.

Cóż znów!

MALFI.

Zapewne, są oczywiście tacy, co cześć dla władców swoich uważają za przesąd, w naszej jednak rodzinie zacofanej żyją stare a święte tradycje. Taka szlachta wczorajsza...

BIANCA.

Przecież ród Comarlich...

MALFI (przerywając).

Możnaż go porównywać z rodem Castinianich? Jeden z Casti...

BIANCA.

Wiem, wiem, margrabino, i o starożytność rodu Lucii nie będę kruszyła kopii. Pamiętam tylko, żeśmy rosły razem, jak siostry.

MALFI.

To nie racya! Nie dokuczałabym jednak tem waszej wysokości, gdyby jego wysokość książę pan...

BIANCA.

Przy ojcu i przy obcych ona się wystrzega.

MALFI.

My w naszej rodzinie pełni jesteśmy przesądów i wola panów naszych, obecnych czy nieobecnych, jest nam zarówno święta. Ale nie o tem właściwie chciałam mówić. Jego wysokość rozumie, że wysokie zalety i miłość księcia Ferraty musiały zrobić wrażenie na waszej wysokości...

BIANCA (bladnąc).

Nie zwracałam uwagi.

MALFI.

To też jego wysokość, znając skromność anielską swej córki, obawia się zbytniego, że tak powiem, chłodu, któryby mógł zmrozić rozkwitający pąk uczuć królewskich przyszłego pana Ferraty.

BIANCA.

Czy z polecenia mego ojca?...

MALFI.

Tak jest, mówię z rozkazu jego wysokości księcia pana, który w małżeństwie tem widzi zarówno szczęście swego dziecięcia, jak i tryumf Moleny. Nie wątpi on, iż pełne miłości serce córki będzie też pamiętało o tem, że przyjaźń Ferraty, szczególnie w okolicznościach obecnych, jest osobliwie pożądaną. Rozumiem pomieszanie waszej wysokości: wrodzona skromność dziewczica wzdryga się na myśl samą o jakimś zbliżeniu z mężczyzną, mam jednak nadzieję...

LUCIA (wchodząc).

Hrabina Neri pragnie widzieć waszą miłość, margrabino.

BIANCA (wskazując książkę.)

Ach, Lucio, umieram z ciekawości: musisz mi natychmiast doczytać ten poemat. (Do margrabiny). Chyba wszystkoscie mi już powiedzieli?

MALFI.

Skończyłam, i jeżeli wasza wysokość pozwoli...

BIANCA.

Ależ proszę was, margrabino! Czytaj że, Lucio. (Margrabina wychodzi).

LUCIA.

Co ci to, Bianco? Co ci ta... margrabina powiedziała?

BIANCA (siląc się na spokój i wesołość).

Nic, nic! Czy nie wyobrażasz już sobie, że tobie tylko wolno się smuć? (Opanowawszy się). Powiedz mi lepiej ty, pustaku drogi, co się z tobą stało? Całą dobę śmiechu twego nie słyszałam. Te łzy wczorajsze błyszczą ci wciąż w oczach, a wodzisz nie mi za mną, jakbyś na cień umarłej Bianki patrzyła. Tyś wesołością moją, a jeśli wesołość moja we łzach będzie, to cóż smutek?

LUCIA.

Ach, tak mi straszno za ciebie!

BIANCA.

I czego? Dam ci zaraz dowód, jak cię mylą złe przecucia. Prawda, domyślił się on kim jestem...

LUCIA.

Przecieżem to właśnie mówiła.

BIANCA.

Zaczekaj. Ale tak się ucieszył szalenie, kiedy mu powiedziałam, że towarzyszką tylko księżniczki... Słyszał, jak wyglądam, ale mamy przecie także same oczy i włosy.

LUCIA.

Powiedz: podobnej barwy. Żebym to ja miała takie oczy... Więc mnie teraz ma za jej wysokość? A to sobie musiał przygryźć język za ową wróżbę: nie daruję mu jej, o nie!

BIANCA.

Daruj, daruj, Lucio. Samaś go tak wtedy dręczyła. A on... nie jest zły. Czasem mignie mu na twarzy cień złowrogi... Może i zdobyłby się na okrucieństwo... we wściekłości... Ale wierz, on bardzo dobry.

LUCIA.

Rozumiem: złowrogi, wściekły, okrutny,—lecz anielsko dobry.

BIANCA.

Zaczynasz sobie dworować ze mnie? Dobrze, dobrze, moja mała, moja miła! Bylebyś mi się wypogodziła, byleby mi wróciła dawna moja Lucia.

LUCIA (nagle).

Ale powiedz, o nieśmiałe, skromne i niewinne stworzenie, jak ci się udaje zmylić czujność margrabiny, która się przecie na tych rzeczach zna: gdzie go widzujesz?

BIANCA (w widocznej walce wewnętrznej).

LUCIA.

Pewno sekret?

BIANCA (żywo).

Przed tobą? (Po chwili, ciszej). A, nie powiesz? Ach przepraszam, przepraszam, sama nie wiem co mówię. (Po nowej pauzie). W... altanie... tej...

LUCIA.

Kiedy? Przecie cały dzień?... (Urywa).

BIANCA (szepcem).

W nocy.

LUCIA (zrywa się, załamując ręce).

Ty? ty?!

BIANCA (zrywa się też i obejmuje ją).

Myślisz może co złego? On wygląda tylko na takiego szaleńca, a klęcząc całuje rąbek mej sukienki i modli się, jak do obrazu cudownego. Zaledwo raz... (Urywa).

LUCIA.

Czemuż nie kończysz? Więc dlatego tej sukienki różowej nie chciałaś oddać służbie, tylko schowałaś, jak relikwię? Jeśli to potrwa, pokojowe go przeklną.

BIANCA.

Jak możesz tak śmieszyć, płacząc sama? I czego? Przecie powiadam...

LUCIA.

A niechby sobie był stokroć śmielszy! Niechby całował, gdzie chce!...

BIANCA.

Co ty pleciesz, Lucio! Gotowam się rozgniewać, doprawdy.

LUCIA (siadając).

Spróbuj, jeśli potrafisz, a ja ci powtarzam: gdyby nawet nie wiem co... niewielkie było by nieszczęście. (Bianka czyni gest przerażenia i zgrozy) Zaczekaj! W naszych czasach, jeżeli zwykła nawet panna ma dobry posag, nikt na takie błahostki nie zważa, a cóż dopiero w polityce! Polityka—wielka rzecz. Czego innego się boję.

BIANCA.

Nie zgadnę nigdy.

LUCIA.

Gdybyś—jak ja, jak inne dziewczęta—lubila potrosze wszystkich chłopców, drwiąc z najbardziej

lubionych. Ale ty tak zaraz bierzesz wszystko do serca.

BIANCA (z westchnieniem).

To prawda.

LUCIA.

Każdej innej księżniczce, zakochanej w takim biednym cudzoziemcu, aniby do głowy nie przyszło wahać się wobec partyi, jaka ci się nastręcza.

BIANCA.

Ja się też nie waham.

LUCIA.

Tak? Czegożeś więc miała twarz taką rozpaczoną i zaciętą, kiedyś weszła? Przecie wiem, po co nas wysłano. Gdybyś była zdecydowana wyjść za księcia Ferraty...

BIANCA.

Jestem za to zdecydowana nie wyjść.

LUCIA.

Co?! Przecie rozumiesz, że księżniczce—zostać żoną byle wygnańca niewolno.

BIANCA (ze skupieniem).

Ale umrzeć wolno.

LUCIA (zrywa się znów i wpatruje w nią. Siląc się zapanować nad wzruszeniem).

Otóż to! otóż to! Z tobą... niewidomo... niewiadomo, jak mówić. Każda inna widziałaby jasno całą niemożliwość, rozumiałaby, że się t zeba liczyć... Rozumiałaby, co z tego wszystkiego być może. Każda rozsądna...

BIANCA (żartobliwie, z uśmiechem wymuszonym).

To jest nie taka, jak ja? Dziękuję za komplement.

LUCIA.

Każda inna w razie jakiejś katastrofy, popłakawszy może trochę, pocieszyłaby się mężem, czy jakim drugim, a tobie się zdaje, że się świat kończy na... Jakże się on nazywa?

BIANCA.

Nie wiem.

LUCIA.

Jakto? Nie zapytałaś go?

BIANCA.

Zapomniałam. Mówiliśmy o czem innym.

LUCIA.

Zapewne! A więc—piękny nieznajomy. Otóż jeżeli was kto wysledzi (Bianca bladnie), co się stać musi nie dziś to jutro,—dla ciebie się skończy wielkimi przykrościami, ale dla niego się skończyć może zupełnie. (Bianca bladnie coraz bardziej) Wiesz przecie, że z księciem panem niema żartów... Bianco, na miłość Boską, nie patrz tak!

BIANCA (po chwili cicho i dobitnie).

Masz słusność: musimy uciekać!

LUCIA.

Co? Ja mam słusność? Ja radzę ci uciekać z tym obieżyswiatem?

BIANCA (drgnąwszy).

Lucio!

LUCIA.

Przebacz, przebacz! Mimowoli... Nigdy już, nigdy tak nie powiem. Ale jak możesz mówić, że ja...

BIANCA.

Masz słusność, że mu ojciec nie da mnie, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, a więc... Nie chciałam słuchać dotychczas.

LUCIA (załamując ręce.)

Ty? księżniczka Moleny?... I nie żal ci ojca, który cię ma jedną?

BIANCA.

Żal, strasznie żal: może umrę z żalu. Gdyby go jednak ojciec mój... Ach, byłoby gorzej, tysiąc razy gorzej. Muszę, muszę!

LUCIA (wybuchając).

Bianco, opamiętaj się! Co ty mówisz? (Z płaczem po chwili). Właśnie... Właśnie... Takie szaleń-

stwo. Tegom się bała. Ale to niemożliwe. Nie pozwolę, nie! Wiem co zrobię. Dam mu znać, że książę wie o wszystkim, że ciebie strzegą, a jego śledzą... Niech sam ucieka!...

BIANCA (z uśmiechem dumy).

On ucieknie? Nie znasz go.

LUCIA.

Za to ty znasz... jego imię.

BIANCA.

Imię? Wiem, że nie mogłoby być większem od jego duszy.

LUCIA.

A więc... Niech się co chce dzieje. Raz trzeba z tem skończyć. Powiem o wszystkim księciu: niech cię ratuje, póki czas.

BIANCA.

Nie zrobisz tego!

LUCIA.

Ale powiem Lapiemu.

BIANCA.

Nie powiesz nikomu.

LUCIA (rzucając się jej na szyję).

Bianko jedyna, nie uciekaj bezemnie. Za kilka dni przywiozą moje klejnoty.

BIANCA.

Dobrze, dobrze, dzieciaku! Zaczekam na twoje skarby.

LUCIA.

I zamiast Lodovica Leschi dasz mi chyba za męża tego niedźwiedzia jasnówłosego. Ale pomyśl, pomyśl, Bianko!...

BIANCA.

Kochać—to kochać, na szczęście czy nieszczęście na ziemi, na niebo czy piekło za ziemią.

LUCIA (placze).

BIANCA.

Cicho, cicho, dzieciaku! (Po chwili z wysiłkiem).
Lucio! Słuchaj. Ja ci coś powiem.

LUCIA (nagle uciszając się, spogląda na nią ze zdziwieniem).

Co?

BIANCA.

Takbym go chciała zobaczyć... we dnie... zbliżka... Takam niespokojna... takie dziś sny straszne miałam...

LUCIA.

Więc cóż? Może pójdziesz do niego?

BIANCA (wskazuje).

Widzisz ten gąszcz? Przysięgłabym, że on tam, i gdybym tylko zaśpiewała...

LUCIA.

I ja mam sama do tego pomagać? Więc mam

odejść? i może stanąć o kilkadziesiąt kroków na tej jedynej ścieżce do zamku, żeby dać znak głosem, jeżeli... Milczysz? A głowę spuszczaś! A wstydzisz się... Tyś mu kazała przyjść.

BIANCA.

Przysięgam, nie! Tylko czuję. Zresztą, choćby go tu nie było, choćby był najdalej—usłyszysz i przyjdzie. (Z uśmiechem) To czary, Lucio. Idź, i... i daj znak, jeżeli... (Do wychodzącej Lucii żartobliwie).
Lucio, przecie lubisz mój śpiew. Będę tak śpiewała głośno, że ty mnie też usłyszysz.

LUCIA.

Ach, Bianco, Bianco.

BIANCA.

Ale ja mu nie powiem, żem go wołała, nie... Idź, idź, Lucio najmilsza! (Lucia wychodzi, potrząsając głową).

BIANCA (śpiewa).

Ktoś ty taki, i jaka kraina
Takim synem się szczyci?

Kto wybranka, co mlekiem swem syna
Bohatera karmiła?
Ktoś ty? Czy ci
Duma władców lśni w oku, czyli też bogów siła?

*

(Nasłuchuje, potem mówi cichym, skupionym głosem)
Królec rodzą, rycerze li prości,
Ród twój — nad wszystkie ziemi.
Cały on — cud odwagi, piękności
I rozumu, i siły,
A skarby temi
Najbogatsze w nie przodki cię, nieznany, darzyły.

*

Słyszysz? (Nasłuchuje). Muszę cię ujrzeć znów,
[muszę. (Nasłuchuje).
Wołać cię nie przestanę.
Jak archanioł olśniłeś mą duszę
Swoją mocą i chwałą,
I raz spotkane
Twe spojrzenie w mem sercu słońcem wnet za-
[pałało

*

Czy zechcesz wiecznie mnie kochać, panie?
Kochaj mnie, bohaterze!
Ród mój też obok największych stanie,
Jestem piękna, bogata,
Kocham i wierzę,
I dla ciebie gotowam zrzec się wszelkich dóbr
[świata.

*

(Nasłuchuje i po chwili znów śpiewa).
Jak mam zwać cię w modlitwie i pieśni?
Czy twe serce mnie słyszy? (Carraro się ukazuje).
Znów wybiegłam, zerwawszy się wcześniej,
By w tej samej altanie
Pomarzyć w ciszy
O tobie. Przyjdź, jak wtedy, usłysz me wołanie!

Scena 3.

BIANCA i CARRARO.

CARRARO (staje u wejścia do altany, wyciągając ku niej ramiona, i po chwili pada jej do nóg).

BIANCA (stoi, zasłoniwszy rękami oczy).

CARRARO (zrywa się, obejmuje ją i tuli do siebie).

BIANCA (drży i płacze cichutko).

Takem chciała was we dnie zobaczyć i teraz nie śmiem...

CARRARO (Podnosi jej głowę, w oczy zagładając).
Taka smutna?

BIANCA.

Okropne mary dręczyły mnie tej nocy. Śniła mi się wojna: ojca mego zamordowano i mnie wygnano. Błakałam się gdzieś po lasach, a wyście mnie już nie kochali.

CARRARO.

Cóż za sen kłamliwy! Wszystko was zawiedzie, tylko nie serce moje.

BIANCA.

Słyszałam, że mężczyźni zawsze zwodzą i pewno tak jest, skoro wszyscy mówią. Ale cóż z tego? Wam—choćbym nie chciała—muszę wierzyć. Powiedźcie: przestalibyście mnie wtedy kochać?

CARRARO.

Ach, nie, nigdy, jedyna moja, gołąbko moja biała!

BIANCA.

Nawet gdyby ojciec mój utracił wszystko... i padł? nawet... gdyby mnie przeklął i wygnał?

CARRARO.

Jam twój na śmierć i życie.

BIANCA (tuląc się do niego).

I jam twoja! twoja tu i tam... (Odsuwa się nagle)
Jakam ja zła! Jaka zła! Czemuż taka błogość nagle załata mi duszę? Że choć ojciec zginął, aleś ty

mój? Żem przekłeta przez niego, ale przez ciebie kochana. Jakimże grzechem jest miłość moja!

CARRARO.

Nie, nie! Tyś święta! tyś święta!

BIANCA

Jestem zła, okropnie zła. Często myślałam, ale teraz widzę, widzę... Nie kocham już snuć ni Boga, ni ojca. (Zalamując ręce) Nie kocham nic, prócz ciebie.

CARRARO.

Ty ojca nie kochasz? Przysięgnę, że jak Madonna kochasz najpodlejszego nawet z jego pacholców, że płakałaś nad złamanem skrzydełkiem ptaszęcia.

BIANCA.

Nie usprawiedliwiał mnie.

CARRARO.

Boga nie kochasz? Gdyby o grób jego szło walczyć chrześcijaństwo, przysięgnę na duszę, sama byś mnie ..

BIANCA (wybuchając płaczem).

Nie przysięgaj, nie! Usłyszałam niedawno, że Turcy wielką moc gotują na Malte, i wnet pomyślałam: żebyż on nie poszedł! Widzisz, widzisz!...

CARRARO.

Ach, nie płacz!

BIANCA.

Nie pójdziesz? Nie porzucisz mnie?

CARRARO.

Nie, nie! Chyba mi sama każesz!

BIANCA.

A więc nigdy. Co się ze mną stało? Jestem szalona, czy urzeczona? Kiedy wyteżę myśl, żeby się zastanović, ogarnia mnie przerażenie. Nic już dla mnie ważnego, godnego uwagi, jeżeli się nie tyczy człowieka, którego zdaje mi się. znam lepiej niż kogoś — bądź na świecie i, zdaje się, nie znam wcale. Co innego wiem, co innego czuję. I wszystkie myśli, wszystkie uczucia w blasku tego płomienia, co się jak proch zapalił, lecz jak proch nie gaśnie, żyją, jak rój

muszek w promyku słonecznym. I chcę cię tak kochać. To okropne!

CARRARO (chwytając jej rękę)

To cudne! to boskie!

BIANCA.

Czas istnieje dla mnie od jednego do drugiego spotkania się z tobą. Przedtem, zdaje mi się, tylko duch unosił się nad wodami, a potem—będzie może sąd ostateczny, może nic. Nie wiem i wszystko mi jedno! (Zarzuca mu namiętnie rękę na szyję). Co to? (zrywa się, nasłuchując).

CARRARO (wstaje i też nasłuchuje).

Czego? czego?

BIANCA.

Nie! nie! Zdało mi się, że ktoś idzie.

CARRARO

Gałazka sucha spadła. (Znowu siada, przyciągając ją do siebie).

BIANCA.

Wciąż myślę o tem, coś mi mówił... dawno...

CARRARO.

O czem, bóstwo moje dobre?

BIANCA (usuwając się nagle)

Nie nazywaj mnie tak, proszę. (Znów się doń tuli)
Coraz mi straszniej: nuż nas wysłedzą.

CARRARO.

Padnę wtedy do nóg twemu ojcu i..

BIANCA (z przestachem)

Ach, nie, nie!

CARRARO (odchyła się, zaglądając jej w oczy. Zmieniłym głosem)

Znaleźli ci już męża? Jak się nazywasz?

BIANCA.

Weź mnie gdzie daleko, daleko, do swojej ojczyzny. Albo nie! Tam będą nas szukali, niebo i ziemię poruszają. Matka moja była Hiszpanką i często mnie, dziecku, z zachwytem mówiła o kraju swoim: pokochałam go.

CARRARO (tak samo)

Twój narzeczony jest tu?

BIANCA (obejmując go)

Nie myśl o tem, nie! Jam twoja — żywa czy umarła.

CARRARO.

Więc uciekajmy. Chcesz? — jutro. Na rano staniem w Sarmie.

BIANCA.

W Sarmie? Dlaczego w Sarmie? Mój ojciec teraz z księciem Sarmy... (Urywa).

CARRARO.

Ojciec twój w Sarmie posłuje? Więc signor Cesi...

BIANCA.

Nie mówmy już o tem. Jutro — niepodobna. Za kilka dni. Trzymaj wszystko w pogotowiu. Powiem ci sama. Ale nie do Sarmy.

CARRARO.

Dokąd chcesz, gołąbko moja biała!

BIANCA.

Do Wenecyi.

CARRARO (znów zmienionym głosem)

Czy często... go widzisz?

BIANCA

Kogo?

CARRARO.

Tego... narzeczonego? Więc tyś nie Lucia Comarli?

BIANCA.

Znów? Ach, nie mów o tem! (Zarzucając mu rękę na szyję) Jestem twoja... biała gołąbka.

CARRARO.

Moja! moja! moja!

BIANCA.

Twoja! twoja! twoja!...

(Zastona).

Scena 4.

W winiarni. Dwa stoły na przodzie sceny, dwa w głębi. Przy 1-ym z lewej strony—szlachta Moleny, przy drugim CAR-RARO i DOWMUNT, przy 3-im prawym—w głębi kilku mieszczan, przy 4-ym—grupa cudzoziemców, Niemców przeważnie.

SZLACHCIC 1.

Czy słońce dziś wcale nie zajdzie?

SZLACHCIC 2.

Z godzinkę bądź jeszcze cierpliwy dla Pana Boga.

SZLACHCIC 3.

Że upał, to upał: ładna mi wiosna.

SZLACHCIC 4.

Pijesz więc, jak smok, dla ochłody.

SZLACHCIC 3.

...W lecie, w zimie zaś—dla ogrzania się.

SZLACHCIC 5.

On i kocha tak samo.

SZLACHCIC 1.

Miłość? Ach, opowiem wam nowinę o Amorze.

SZLACHCIC 6.

Obraźże sobie mieszkanie w jakichś niewyssa-nych jeszcze pocałunkami oczach?

SZLACHCIC 2.

Byłoby więc to nie w Molenie.

SZLACHCIC 5.

Dzięki tobie! Antonio! Cóż bowiem nie padnie przed bronią twojej nienawiści lub miłości?

SZLACHCIC 3.

Dodaj: według własnego twego, a więc najwiarogodniejszego świadectwa.

SZLACHCIC 2.

No, no! bardzo proszę...

SZLACHCIC 7 (do 1-go).

Ale twoja nowina, Graziano?

SZLACHCIC 1.

Słuchajcież! (Zniżając głos) Nasz Antonio... (Wehodzi Mattea Roselli).

SZLACHCIC 7 (do wchodzącego)

Kogo i gdzie widzę? Nie rumień że się, młodzieńcze. Wielka chwała Bogu za twoją poprawę. Bo samotność tylko maichom służy i pluży, a i to rzadko, szklanka zaś wina w dobrej kompanii...

ROSELLI.

Nie na wino przyszedłem, ale was właśnie szukałem.

SZLACHCIC 7.

Witam cię więc podwójnie, kopisto nadworny jego wysokości księcia Moleny.

ROSELLI.

Chciałbym wam na osobności..

SZLACHCIC 7.

Macież mi coś bezwstydnego do powiedzenia? Tembardziej mówcie głośno: pocóż krzywdzić tych szlachetnych panów.

ROSELLI.

Byłem u was kilka razy.

SZLACHCIC 1.

Czemużeście się odrazu nie domyslili, gdzie go szukać?

SZLACHCIC 2.

W dzień — tu, w nocy zaś u dobrej ciotki wciąż zmieniających się siostrzenic...

SZLACHCIC 7.

Dajcie pokój swoim tajemnicom, siadajcie i bierzcie szklankę, a bez min.

ROSELLI.

Dziękuję, nie mam czasu. Chciałem was prosić... czybyście mi nie mogli dać pół dukata za tę kopię „Pokusy św. Antoniego?...”

SZLACHCIC 3.

Czy naszego Antoniego?

SZLACHCIC 4.

Bo on pewno najświętszym jest ze wszystkich świętych tego imienia.

SZLACHCIC 5.

Ten nie dalby się długo kusić.

SZLACHCIC 7 (do Rosellego).

Ani słówka o tem, bo zamiast pół dukata daję wam całe moje słowo: za tydzień.

SZLACHCIC 3.

Kończ-że, Sebastiano: „usłyszycie odemnie to samo.“

ROSELLI.

Przykro mi bardzo, ale pieniędzy tak teraz potrzebuję...

SZLACHCIC 7.

Tylko teraz? Toście szczęśliwi, bo mnie potrzebne one zawsze.

ROSELLI.

Możeby wam choć jaka głupia garstka miedzi różnicy nie zrobiła?

SZLACHCIC 4.

Słyszycie bogacza? Głupiej miedzil!

SZLACHCIC 7.

Rzućcie okiem na mój rachunek dzisiejszy u naszego gospodarza, o kopisto nadworny jego wysokości: to wszystko do zapłacenia, ile zaś jeszcze przybędzie do nocy?!

ROSELLI (wstając).

Przepraszam więc.

SZLACHCIC 1.

Ale ale! Wstrzymajcie się! (Do towarzyszy) Co się to dziś zapóźnił Lenaro. (Do Rosellego) Potrzebna mu jakaś kopia... (Do towarzyszy) dla narzeczonej, zdaje się. (Roselli znów siada)

SZLACHCIC 3.

A cóż ta n, Graziano, bajeczka twoja o Antonim i Amorze, czy też Antonim Amorze? Pyszna myśl! Rzymianie Zeusa greckiego przechrzcili Jupiterem, Feba—Apollinem, zacznijmyż my zwać od dziś Amora—Antonim.

SZLACHCIC 4.

Brawo! Niech więc żyje Antoni! (Do 1-go) I cóż?

SZLACHCIC 1.

Otóż jego dama...

SZLACHCIC 5.

Która?

SZLACHCIC 1.

Zapytaj go sam o numer. Otóż owa piękna dama, usłyszawszy Braniniego...

SZLACHCIC 4.

Zakochała się w nim oczywiście po... Rzekłbym: po uszy, gdybym nie wiedział, że one najmniej znaczą w miłości. Zrobiłbym toż samo na jej miejscu. Jak on śpiewa! Słyszałem teraz w Medyolanie.

SZLACHCIC 6.

Słuchajcie no, Mattea, wy macie niezły głos: sły-
szałem kiedyś, zabłąkawszy się do tej dzielnicy.

SZLACHCIC 2.

Do Violetty.

SZLACHCIC 6.

Ot dalibyście pokój smarowaniu płócien, a weźcie

się do śpiewu: może z was wyjdzie choć ze ćwierć Braniniego.

SZLACHCIC 4 (do Rosellego, który za odpowiedź machnął ręką).

Co, możebyście nie chcieli tak śpiewać, jak Branini? (Wchodzi Bartolomeo Sera).

ROSELLI.

Zapewne, ale oddałbym jego głos, byleby się w duszy mojej rodziły, chociażby niesłyszane przez nikogo, melodye... (Urywa)

SERA.

Oddałbym Genuę za Wenecję.

GŁOSY (z wybuchami śmiechu).

Witajcie, mistrzu!... Miejsce dla malarza nadwornego!... A to mu dojechał!.

LENARO (wchodzi, i przywitawszy się ze wszystkimi, do Rosellego)

Jak się macie, puszczyku! Mamże oczom wierzyć, że was tu widzę? Szczęście to dla mnie, bo do

was tak daleko. Co weźmiecie za kopię tej „Pietà“ z kaplicy zamkowej?

ROSELLI.

Jakich rozmiarów?

LENARO.

Jakich rozmiarów? Naturalnie jak w oryginale.

ROSELLI (jąkając się)

Dukat — zwykła cena.

LENARO.

To na nic!

ROSELLI (wyraz męki pokrywając uśmiechem wymuszonym)

Niech będzie połowa... byle zaraz!

LENARO.

Zaraz? A któż głupi płaci z góry? Mazalibyście mi potem rok cały to płótno.

ROSELLI.

Daję słowo...

LENARO.

Wolę obraz. (Do Sery) A wybyście się nie podjęli tego, mistrzu?

SERA.

To nie dla mnie. Mam tyle roboty oryginalnej.

LENARO.

Trzy dukaty? (Sera przeczy głową) Cztery? Pięć? (Sera przeczy głową).

SZLACHCIC 4.

Ale, ale! Wyobraźcie sobie, panowie, spotkałem go (wskazuje Rosellego) przed paru tygodniami w Medyolanie. Patrząc, w kościele przed jakimś obrazem stoi ktoś z gębą otwartą, oczyma na łbie. On. Gadam — nie słyszy. Ciągnę za rękaw — nie czuje. Musiałem mu dać dobrego szturchańca, żeby go zapytać o nowiny z Moleny: na dobitkę nic nie wiedział.

SZLACHCIC 6.

Jakie to dziwne! Z takim zapalem dla sztuki...

ROSELLI.

Nieszczęściem może mojem, że myśl oderwaną odczuwam tak samo namiętnie, jak obraz.

SERA.

Któż zaprzeczy, iż można być marnym myślicielem i marnym artystą w jednej osobie.

ROSELLI (kończąc i jakby nie słysząc śmiechów)

Zresztą można czuć promień słońca, a być jak szkło mętne, przez które on się nie przedrze.

SERA.

Pyszny to wynalazek — szkiełko okopcone: można patrzeć w samo słońce, a nie ośleć.

(Nowy wybuch śmiechu. Roselli zrywa się z zaciśniętymi pięściami i po chwili wybiega).

SZLACHCIC 2.

Cóż za złośliwa bestya z tego Bartolomea.

SERA (wzruszając ramionami).

Czy nie było dziś Leschiego?

SZLACHCIC 6.

I nie będzie. Jutro dopiero wraca.

SERA.

Więc do widzenia!

GŁOSY.

Jakto?... Nie napijecie się z nami?

SERA.

Nie mam czasu! (Wychodzi).

SZLACHCIC 8.

Nie wyobrazicie sobie, co ten nieuk i zarozumialec odpowiedział raz Bartolomeowi, o którym, choć o kuzynie, śmiało mogę powiedzieć, że jest mistrzem.

SZLACHCIC 3.

Jesteście jego kuzynem?

SZLACHCIC 8.

Sera, jak komu dobremu, powiada raz: „mieszaj farby nie tak, jak cię cyganie w Hiszpanii uczyli, ale tak a tak.“ A ten: „skorzystam z rady waszej, kiedy będę parkany malował.“

SZLACHCIC 2.

Znany to ptaszek! Zarozumiałość tem głupsza, że bez podstawy.

SZLACHCIC 3.

Mieni się, kiedy mowa o Rafaelu czy Andre-
del Sarto.

SZLACHCIC 4

Jak ty, kiedy mowa o du Lieu lub Tankredzie.

SZLACHCIC 3.

Przy dworze wszystkim się naraził, samemu na-
wet księciu panu w czemś uchybił.

SZLACHCIC 4.

Tylko ojciec Vicenzio z Leggio kocha go po-
dobno jak syna. Może znał jego matkę.

SZLACHCIC 2.

Zbliża. (Do wchodzącego budowniczego nadworne-
go) Panie Celli, co zamysła siostrzeniec wasz?

CELLI (wita się i siada).

Panie Antonio, co zamysła siostrzeniec mój?

SZLACHCIC 3.

Alboż nie wiesz? Mattea nietylko wyniósł się
od niego w nocy przed paru miesiącami, ale się nie

klania odtąd wcale ani jemu, ani jego żonie, ani jego
dzieciom.

SZLACHCIC 1.

Za cóż taka niełaska spadła na tę rodzinę nie-
szczęsną?

SZLACHCIC 3.

Celli odezwał się niedbale o jego malarstwie
i owych latach włóczęgi po świecie, które zjadły cały
spadek po ojcu. Uchybił jednym słowem należnym...

SZLACHCIC 4.

Ja wam coś lepszego opowiem. Znacie wszystkie
tę ładną i bogatą wdówkę, co wychodzi teraz...

SZLACHCIC 2.

Giuliettę Bottore?

SZLACHCIC 4.

Otóż kochała się ona potrosze przed rokiem
w tym błaznie, który wówczas nawet kopistą nadwor-
nym jeszcze nie był. Już dzień ślubu był naznaczony,
kiedy zdradziła się razu pewnego z rozumieniem, że
robi mu zaszczyt swoją osobą, fortuną i stosunkami:
wyszedł nie pożegnawszy się i odtąd ani ją zna.

SZLACHCIC 8.

Pyszna to kobiecina! Powiada, że ze wszystkich ludzi na świecie największą wdzięczność czuje dla niego za to właśnie, że jej przeszkodził zrobić największe głupstwo w życiu.

HERMAN v. HOCHBERG (wchodzi, a potrąciwszy po drodze dwóch wychodzących mieszczan, zbliża się do stołu cudzoziemców i uderza po nim pięścią).

Hej!

PACHOLKÓW DWÓCH (podbiegając razem)

Co rozkaże wasza miłość?

HOCHBERG.

Wina cypryjskiego dziesięć odrazu i jeść co, a duchem, bałwany, bo... (znów pięścią w stół uderza).

SZLACHCIC 6 (wskazując witającego się z towarzysza-
mi stołu Hochberga).

Patrzcie, to ów potwór niemiecki, co zabił już w Molenie kilkudziesięciu ludzi.

SZLACHCIC 4.

Ten ogromny bydlak?

SZLACHCIC 1.

Ciszej, bo usłyszy.

NIEMIEC.

Prawdaż to, Hermanie, że uciekacie z Moleny?

HOCHBERG (pijąc)

Niech dyabli porwą ten kraj przeklęty: znowu mnie okradli.

FLAMAND.

Gdzież niema złodziei?

HOCHBERG.

Ale kto tu jest prócz nich?

SZLACHCIC 4 (półgłosem)

Ten pies na nas szczeka.

SZLACHCIC 7 (chwytając go za ramię)

Ciszej!

SZLACHCIC 2 (też półgłosem)

Niewartoż mu żelazem gardła zatkać?

SZLACHCIC 7 (jak wprzód)

Ciszej! ciszej!

SZLACHCIC 1.

Idź, spróbuj! To zwierzę łamie podkowy w ręku i wszelką bronią robi jak...

HISZPAN (przy 4-ym stole)

Ja bo lubię ten kraj.

HOCHBERG.

Lubiłbym go też, gdybym był dzumą.

SZLACHCIC 2 (półgłosem)

Dalibóg, szpady do garści i kupą na tego lajdaka.

SZLACHCIC 7.

Ależ ciszej, ciszej! Jeszcze usłyszysz. Teraz cudzoziemców zaczepiać niewolno.

SZLACHCIC 3 (do 2-go)

Onby sam jeden setkę takich, jak ty, wytlukł do nogi, a tam ich tyłu.

SZLACHCIC 2.

Słuchajcie, pójdziem za nim wszyscy razem i w jakim zaułku ciemnym...

HOCHBERG.

Kraj żebraków, oszustów, złodziei, uliczników i robactwa.

SZLACHCIC 2.

I te podle chamy: tak blisko, a żaden go w lebekubkiem nie trzaśnie.

FLAMAND (do Hochberga)

Mówilibyście ciszej.

HOCHBERG.

Herman von Hochberg miałby się bać? I kogo? Alboż mnie tu nie znają? Robactwo plugawe tylko w mroku i ciszy nocnej ma odwagę kąsać. Bardzo bym chciał, dla równego rachunku..

NIEMIEC.

W każdym razie...

HOCHBERG.

W każdym razie ani jednej figi więcej bym tu nie żądał, ani jednej butelki wina, ale to nie zatrute chyba jeszcze, o świcie zaś jadę. Ale żeby tu... (waży pięść)

CARRARO (zbliżywszy się, uderza go po ramieniu)

Hej, rycerzu niemiecki, cóż tak urągacie Italii przy chlebie i winie italskiem?

HOCHBERG (mierząc go zdziwionym wzrokiem)

Za złoto niemieckie dostanę tu w każdym domu żonę i córkę italską. Ale cóżeście to za jeden, że mnie pytacie, i gdzie was skóra świerzbi?

CARRARO.

Odpowiadam, gdy wołają: „hrabio du Lieu“, chciałem zaś wam powiedzieć, że największym łgarzem i fanfaronem, jakiego znałem w życiu, jest Niemiec, taki duży, jak wy.

HOCHBERG (podnosząc się)

Patrzcie, panowie! Możnaż chcieć gwałtem leżeć w tej podłej ziemi? Pyszenie się składa: jednego mi właśnie brakło tu do tuzina, że zaś jadę jutro o świecie, traciłem już nadzieję. Powiedźcie mi tylko, śmiertelny rycerzu francuski, czego się wtrącacie, skoro tylu krajowców milczy?

CARRARO.

Zdaje się, jakaś prababka moja była Włoszką,

pewno więc krew włoska, ten najdroższy płyn mego serca, zakipiała we mnie.

HOCHBERG.

Wytoczmy ci ten płyn drogi przed zachodem jeszcze. (Spojrzawszy na słońce) Mamy z kwadrans.

CARRARO (uderzając po rękojeści szpady)

Jestem gotów. (Obejrzawszy się) Dowmunt!

DOWMUNT.

Jestem przy tobie.

HOCHBERG (do Carrara)

Mogę cię i na taki rożen nadziać, choć milszyby mi był nasz ucziwy rapier niemiecki.

CARRARO (do Niemców)

Panowie, który z was rapiera mi pożyczysz? (Wybiera na chybił trafił) Dziękuję.

HOCHBERG.

A więc do roboty, bo słońce siada. Tędy do ogrodu.

CARRARO.

Chwileczkę! (Cicho do Dowmunta) Jeżeli zginę, powiedz panie Cesi, towarzyszce księżniczki—zapisz się tu ochotnikiem — że o niej ostatnia myśl moja i proś... Nie, to daremne, ona nie zapomni. A powiedz też głośno, kim jestem, żeby wstydu Włochom oszczędzić. Ze cztery lata rapiera takiego w ręce nie miałem.

HOCHBERG (do Dowmunta)

Toś waśc ksiądz, że się wam skazaniec spowiada. Szkoda! Myślałem, że przed zachodem jeszcze się i z przyjacielem jego zabawię. Niechby tam już i dyabelski był tuzin.

DOWMUNT.

Jeśli was dyabeł przed zachodem do innego tuzina swego nie weźmie, — służę. (Wychodzą, za nimi wszyscy).

A k t III.

Scena I.

Sala na zamku obok balowej.

BIANCA i LUCIA (wchodzą).

BIANCA.

Lucio! Będę się bawiła rozkosznie! (Zagląda do sali balowej). Jak cudnie wygląda ta sala!

LUCIA (też zagląda).

Cudnie, szczególnie w oczach miłości. Ciekawam szalenie miny pięknego nieznanego, kiedy się dowie, żeś tak z niego zażartowała. Ręczę, że z tego się tak cieszysz.

BIANCA.

Może. Ale jak się cieszyć! Powiedz sama: on będzie chyba rad? Dopóki jeszcze mógł myśleć, że księżniczka byłaby nie dla niego... Ale teraz wie, że na ziemi nic już nas rozłączyć nie może, że córka wielkiego mogła czy pasterza — jednako byłabym jego.

LUCIA.

A bądź co bądź, jeżeli już nawet wybił sobie posag z głowy, przyjemniej mu będzie posiadać córę księcia udzielnego, niż zwykłą dziewczynę, tembardziej, że gdzieś tam w głębi duszy zostanie mu zawsze nadzieja przebaczenia ojcowskiego, lub...

BIANCA (żywo).

Coś ty chciała powiedzieć? Nie znasz go. To rycerz bez strachu i zarzutu. Potrafiłby on może zabić otwarcie, ale takie rachuby!.. Nie, nie! Uczuje tylko, czem jest dla mnie, i będzie szczęśliwy: ta, która mięłzy najwyższymi wybierać mogła, jego wybrała.

LUCIA.

Uciekajmy. Zaczynają się zjeżdżać. Przecie ostatnia masz się ukazać. (Wychodzą)

(Wchodzi grupa osób. Potem di Massa, Carraro, księżęta, księżniczka, Lucia i damy, Sera, Celli, Leschi, Pereto, Lapi, służba itd).

SZLACHCIC 1.

Czy aby jest co pewnego w tych plotkach?

SZLACHCIC 2.

Plotkach? Ależ to pewne, jak amen w pacierzu. Książę Sarmy żąda przywrócenia do dóbr, czci i łask tego... no!.. Będzie nareszcie rozrywka.

SZLACHCIC 3.

Ładna mi rozrywka.

SZLACHCIC 2.

Są tacy, dla których niema — jak kości, wino i dziewczęta.

SZLACHCIC 4.

Czego nasz Antonio nie znosi...

SZLACHCIC 2.

Nie mówię tego...

SZLACHCIC 1.

To szczęście: uniknąłeś jednego więcej grzechu śmiertelnego, a jeśli łaska Boża i nadal będzie z tobą, unikniesz też grzechu zabójstwa na wojnie.

SZLACHCIC 2.

Lada dzień ją ogłoszą. Podobno ostatni list księcia Sarmy taki był grubiański...

SZLACHCIC 5.

Co też ty pleciesz! Myślisz, że panujący — to żołdacy pijani?

SZLACHCIC 2.

Po cóż zaraz brać dosłownie.

SZLACHCIC 6.

Bierz przeciwsłownie.

SZLACHCIC 2.

Gadajcie, co chcecie, a co prawda, to prawda. I chwala Bogu, bo już nuda w tej Molenie była okrutna: o pojedynek nawet trudno.

SZLACHCIC 1.

Sluchając tego Antonia, możnaby pomyśleć, że to jakiś straszny ludożerca.

SZLACHCIC 7 (wskazując wchodzących).

Sza! Cudzoziemcy!

SZLACHCIC 5.

Dwór im teraz ogromnie nadskakuje.

SZLACHCIC 3.

Naturalnie: ochotnicy potrzebni. Takie włości, to bogate najczęściej chłopcy, szukające tylko awantur po świecie.

SZLACHCIC 1.

Oto ich masz, Antonio. Z tymi o pojedynek nie-trudno. Jeżeli tylko bierze cię chęć dostania się na rożen, wybieraj...

(Wchodzi di Massa).

SZLACHCIC 2.

Ach, przepraszam was, muszę się przywitać z przyjaciелеm swoim, hrabią di Massa. (Odchodzi).

SZLACHCIC 1.

Di Massa? Na Madonę i Bachusa — on sam. Teraz wierzę, że będzie wojna.

SZLACHCIC 3.

Racya. Toć od tego wypad... od lat siedmiu czy ośmiu ścięła go niełaska dworu za stosunki z tym... no...

SZLACHCIC 6.

Patrzcie, jak skacze koło niego nasz Antonio, a ten—jak chart na kundysa spogląda.

(Wchodzą Carraro i Dowmunt).

SZLACHCIC 8 (wskazuje Carrara).

A tam kto? Taki wspaniały! Jakiś wielki pan..

KILKA GŁOSÓW (naraz).

Nie wiesz?... Jakto?... Ten?... To on!... Du Lieu!.. Zkąd przybywasz?

SZLACHCIC 1.

Toć to Francuz, o którym trąbi cała Molena.

SZLACHCIC 8.

Zabójca tego potwora niemieckiego?

SZLACHCIC 4.

On sam. Hrabia du Lieu.

SZLACHCIC 8.

On? Prawda, że wygląda na swoje imię, choć myślałem, że to jakiś Antinous nie Herkules.

SZLACHCIC 1 (do 2-go).

A co będzie, Antonio, jak twoja Diana obaczy tego bohatera? To gorzej, niż z Braninim.

SZLACHCIC 8.

Antonio ofiaruje obecnie bogini czystości?

SZLACHCIC 6.

Jego bóstwo jest nieskończenie wyższe nad imienniczkę swą z Olimpu.

SZLACHCIC 7.

Dlaczego?

SZLACHCIC 6.

Nie szczuje bowiem Akteonów, Endymionów zaś budzi.

DI MASSA (zbliżając się do Carrara, cicho)

Trzymajcie, hrabio du Lieu, serce na uwięzi, bo lada chwila księżniczka się zjawi. (Wskazuje wcho-

dzącego księcia Ferraty) — Oto jej narzeczony, ale niedozekanie jego. Musicie ją sobie wziąć, (ciszej) bo byście potem mieli nad sobą miecz damoklesowy wiecznych pretensyi Ferraty.

CARRARO.

Drwię z tego. Pretensye zawsze na słabych szekają i szarpią, a przed silnymi warują. Niech ją bierze ten błazen, lub wiesz co? tobie ją dam. Świątynia mego serca i tron Moleny mają już swoją władczynię.

DI MASSA.

Trzymam waszą księżęcą mość za słowo. Sądząc z portretu—cud to piękności boskiej. Ale zwracamy na siebie uwagę. (Odchodzi).

SZLACHCIC 9. (podbiegając).

Patrzcie, to ten hrabia francuski, co to...

SZLACHCIC 1.

Patrzymy, wiemy, widzieliśmy...

SZLACHCIC 9.

Co? Możecie byli przy tem? Opowiedzcie, zli-

tujcie się, bo już na tysiąc sposobów... Sz sz-sz! Książę! (Wszyscy witają wchodzącego w gronie panów ukłonem głębokim)

SZLACHCIC 1.

Prosto do hrabiego di Massa. Rękę mu ściska!
Wojna, jak dwa a dwa...

SZLACHCIC 5.

Cicho!

KSIĄŻĘ (do hr. di Massa. Dolatują wyrazy oderwane).

Mój ojciec niezapomniany i ja... Dawna przyjaźń dla domu waszego... Hrabio... Stosunki przyjazne... Zakwitnie znów... (Odchodzi ku Carrarowi).

SZLACHCIC 1.

I temu rękę ściska.

SZLACHCIC 2.

Alboż nie wiecie? Książę nie posiadał się z radości, kiedy mu opowiedziano o tych dwóch półgłowach niemieckich, co od ciosu francuskiego aż na ramiona popadały. Jeździł sam oglądać.

SZLACHCIC 3.

Na Bachusa! kto by nie wiedział, który książę, mógłby się pomylić.

SZLACHCIC 1.

Dumna to musi być sztuka. (Książę wychodzi na prawo; Carraro na lewo).

SZLACHCIC 2.

Chodźmy za nim. Muszę się poznać...

SZLACHCIC 7.

Stójcie! Księżniczka!... Narzeczony!...

(Do wchodzącej w orszaku dam, obok księcia, księżniczki, którą obecni witają głębokimi ukłonami, zbliża się książę

Ferraty).

KSIAŹE FERRATY.

Nareszcie się słońce w orszaku gwiazd ukazało

BIANCA.

Zły z was astrolog, kuzynie: niebo nie zna takiego zjawiska.

KSIAŹE FERRATY.

Ale na zamku, któremu panuje różdżeczka takiej wieszczki, wszystkie cuda są możliwe.

KSIAŹE MOLENY.

Ustępuję wam, kuzynie, miejsca przy swojej córce, pozostawiając was wspólnym badaniom astrologicznym. (Odechodzi).

KSIAŹE FERRATY.

Kuzynko, zechciej więc zacząć badanie od mego serca?

BIANCA.

Nie wątpię, że to też gwiazda i ciekawa, zostawmy ją jednak na przekąskę.

KSIAŹE FERRATY.

Takież to instynkta krwiożercze w tak cudownych usteczkach i ząbkach?

KSIAŹE (wracając z Carrarem).

Córka moja umiera z ciekawości, tak pragnie poznać pogromcę smoka niemieckiego i, gdyby nie dziewicza nieśmiałość i wrodzony strach krwi, zaudziłaby mi pewno prośbami pokazania jej was. Bianco, oto hrabia Jean du Lien. (Bianca mimowoli się cofa, stając obok Lucii. Carraro składa ukłon ceremonialny Lucii). Cóż to hrabio? Za mego ptaka królewskiego bierzesz tę srokę?

BIANCA (obejmując ręką jej kibić).

Moją najdroższą, najśliczniejszą sroczkę.

KSIAŹE.

Tybyś się tak nie pomylił, kuzynie, nieprawdaż?

KSIAŹE FERRATY.

Jak księżycyca nie wziąłbym za słońce.

CARRARO (Brwi mu się groźnie ściągają, mieni się, wreszcie opanowawszy się).

Od majestatu piękności słonecznej odwracają się mimowoli oczy olśnione, żeby nie oślepyły. Trzeba je powoli przyzwyczajając do spoglądania—choćbyżby zukosa.

KSIAŹE.

Brawo! Dowcipem francuskim szermujecie, hrabio, nie gorzej, niż rapierem niemieckim. (Do stojącego opodal, zapatrzonego w Biankę). Hrabio di Massa! (Do Bianki) Ten nie oślepl, ale ogłuchł (Do hr. di Massa, który obudzony przez kilka osób naraz, zbliża się z ukłonem). Chodźcie, hrabio, niech was poznam ze żrenicą swego oka, panią pana... Bianco, przyjm do łask swoich starego druha naszego domu: był nim jeszcze w osobach dziada i pradziada. Lecz wy się znacie!

DI MASSA.

Jeżeli można znać kwiat cudny z czarującego pąka,—znam jej wysokość.

KSIAŹE.

(Z sali w głębi daje się słyszeć muzyka).

Panowie, nie psujcie mi córki! Będę jej musiał, prowadząc między was, uszy woskiem zalepiać, bo gotowa sobie wyobrazić nareszcie, że nie jest brzydka. (Podnosząc głos, do wszystkich). Do sali balowej, panowie! tańczcie, pijcie wino i mówcie damom o miłości. (Gwar i rumor. Mężczyźni zbliżają się do dam. Bianka odchodzi, wsparta na rękę pochylającego się ku niej z galanterią poufałą księcia Ferraty. Carraro robi kilka kroków za nimi i zatrzymuje się przy drzwiach w głębi sceny).

SERA (zbliża się doń w ukłonach. Dolatują słowa).

Wasza miłość... Taka postać... (Carraro, nie słysząc, wchodzi na salę).

SERA (do wchodzącego z prawej strony margrabiego Pereto, któremu towarzyszy Lapi, zbliża się w ukłonach. Dolatują wyrazy).

Byłbym w rozpaczycy... Dostojny panie... (Idą ku przodowi sceny). Jedno posiedzenie, króciuchne po-

siedzenie. Bartolomeo Sera pracuje szybko, jak nikt w Italii. Taka twarz wspaniała, jak waszej dostojności...

PERETO.

Zobaczmy, zobaczmy.

SZLACHCIC 1 (wchodząc z grupą towarzyszy).

A toż co za figura?

SZLACHCIC 2.

Nie tak niedbale, mój kochany. To magnat szalony, największy na świecie znawca sztuki, przyjaciel Papieża.

SZLACHCIC 3.

A, ten Neapolitańczyk sławny.

PERETO (Wskazując obraz).

Nabyłem oryginał tego Perugina. Czyja to kopia?

LAPI (do Sery).

Zda się kopisty naszego nadwornego, nieprawdaż?

SERA.

Tak, wasza dostojność. (Do Pereta). A tam sławny mój — śmiem powiedzieć — Sąd Salomona.

PERETO (spojrzawszy na obraz wskazany, znów o kopii)

Nie powiem, żeby ta kopia była zupełnie wierną, jest w niej jednak coś... Wasz Sąd Salomona, mistrzu, zasługuje oczywiście na swoją sławę.

SERA.

Uznanie waszej dostojności jest dla mnie szczytem nagrody, świat bowiem cały...

PERETO (przerywając)

Wcale niezła. Potrzebuję właśnie kopii kilku obrazów tutejszych...

SERA.

Dla waszej dostojności sam z rozkoszą się podejmę.

PERETO.

Skorzystam też zapewne i z waszych usług. Przedewszystkiem zaś oddacie mi pierwszą, towarzysząc do pracowni tego... tego... (Wskazuje ową kopię).

LAPI.

Rosetta, jeśli się nie mylę, Rosella... (Do Sery Jakże?

SERA (do Pereta)

Szkoda drogiego czasu waszej dostojności: kilka kopii pozaczynanych—to całe bogactwo dziury, którą łaska waszej dostojności zwie pracownią na niewidziane. Nikt jej chyba nie zna lepiej odemnie. Uczeń to mój, do którego ze wstydem się przyznaję. O żadnym obrazie jego z własnej głowy nigdy nie słyszałem nawet, przedemnąby się zaś pierwszym chyba pochwalił.

PERETO.

Widzicie, mistrzu, mam zwyczaj zwiedzać wszędzie wszystkie pracownie malarzy i rzeźbiarzy — od najsławniejszych do najmniej znanych, a za parę dni dopiero wyjeżdżam do Rzymu. Nie macie pojęcia, ile pereł zdarzało mi się wylawiać w najmarniejszych dziurach, jak powiadacie. (Odechodzi)

SERA (idąc za nim obok Lapiego)

Zapewne, cenię jednak tak wysoko fatygę waszej osoby dostojnej... (Reszta wyrazów ginie).

SZLACHCIC 1.

Rosellego pracownię chce zwiedzić: dotychczas tylko szczury w niej mecenasowały.

SZLACHCIC 9.

Rosellego? tego błazna, co ma się za malarza bo mu pozwalają obrazy mistrzów z kurzu ocierać?

SZLACHCIC 3 (do zbliżającego się Sery).

Mistrzu, czemuż ukochanego ucznia waszego Mattei, tu niema?

SERA.

Niebawem wcale go tu nie będzie, ani na sali ani nawet w przedpokoju.

SZLACHCIC 2 (podchodząc).

Kogo?

SZLACHCIC 1 (4-y podchodzi).

Roselli ma otrzymać dymisyę z wysokiego dostojństwa kopisty nadwornego jego wysokości.

SZLACHCIC 2.

I świat się nie zawali? w niebie się dziura nie zrobi?

SZLACHCIC 4.

Zkądże ta wieść przerażająca?

SZLACHCIC 3 (wskazując odchodzącego Serę).

Oto źródło prawdy — przemijające.

SZLACHCIC 5.

Słuchajcie! Chodźmy się czego napić!

GŁOSY.

Pyszna myśl!... Racya!... Warto powtórzyć!..
Ale tam tańczą... Po szklance! (Wychodzą).

BIANCA (wbiegając, do zadumanego Carrara).

Nad czym tak się zamyślił hrabia Jean du Lieu? (Ogląda się). Nie śmiałam was pytać o imię, żebyście mnie o moje nie pytali. Jak ono ładnie brzmi w języku tej z prababek waszych, której ów nieszczęsny Niemiec zgon zawdzięcza. Giovannil! Pozwolicie, że zawsze tak będę was zwała? Czemu patrzycie tak ponuro? (obejrawszy się znów, zagląda mu w oczy spuszczone i głosem przenikającym). Nie kochasz mnie, Giovanni?

CARRARO.

Pani... Wasza wysokość!...

BIANCA (znowu się oglądając).

Nikt nie usłyszy. Powiedz: Bianco! Przestaniemy być białą gołąbką twoją, Giovanni?

CARRARO.

Bianco!

BIANCA.

Jak jęk. Aj, rycerzu mój wielki! Gotowiście mi się tu jeszcze rozplakać.

CARRARO.

Pocoście mnie zwiedli, o pani?

BIANCA.

Myślałam, żeście dobrzy i warci niespodzianki. Pamiętajcie, żeście obiecali kochać mnie w najgorszym nawet razie, choćbym nawet była córą cesarską, a jestem przecie córką równego może królom, ale księcia tylko.

CARRARO.

Taki żart okrutny!... O mój Boże!

BIANCA.

Zkądże ta rozpacz? Chcecie mnie zmartwić?

A tak mi dziś było wesoło, jak nigdy. Ach, proszę, bądźcie szczęśliwi. O mój Giovanni! (Ogląda się) powiedz: kocham cię, Bianco!

CARRARO.

Kocham cię, Bianco.

BIANCA.

Jak echo! Ani dźwięku od siebie?

CARRARO (z wyrazem męki na twarzy).

Co robić, co robić?! Zadusić tego chłystka księżęcego i... i...

BIANCA (wesolo).

Tak? Więc to zazdrość kasa mego władcę i pana? Zdażyli ci już powiedzieć... Rozjaśnijże czoło, Giovanni! Prędzej umrę tysiąc razy, niż wyjdę za niego. Czyżbyście mnie nie wierzyli? (Ogląda się na odgłos kroków i głosów grupy wchodzących i, smutniejąc i bladnąc, szybko z tłumioną namietnością) Chcecie? Ot tu na tej sali padnę wam do nóg, ja, Bianca z Moleny, i, objąwszy wasze kolana, krzykiem wezwę Madonę na świadka, że was kocham.

CARRARO.

Bianko moja!... Wierzę... Kocham.

BIANCA.

Wierzysz? Kochasz? Naprawdę? Znowu mój dawny! (Szybko) Jutro! nie—pojutrze.

KSIĄŻE FERRATY (podbiegając).

Gdzież się kryjesz, kuzynko? Znikasz—niepomna, że śmiercią mi twa nieobecność.

BIANCA (z ukłonem).

Bo twoja życiem mi jest, kuzynie! (Odechodzi w głąb, wzrokiem żegnając Carrara. Książę Ferraty przeprowadza ją wzrokiem osłupienia. Wchodzi nowa grupa osób. Słychać głuszone przez gwar i muzykę wyrazy:)

Wyobraź sobie .. Jesteś zakochany? Co za wino!.. Antonio... Nie podobnie cudnego!... Księżniczka... Zaćmił wszystko... Prawda... A jaki wdzięk... A ta, ta z oczyma zielonemi...

SZLACHCIC 3 (wskazując Carrara).

Naszemu Francuzowi poprostu ogień z oczu tryska.

SZLACHCIC 4.

Piękny smok.

SZLACHCIC 5.

Jedna głowa—ale dobra. (Carraro odchodzi w głąb)

SZLACHCIC 1.

Oho, już się go nasz mistrz uczeplił.

SZLACHCIC 5.

Zdaje się po raz już wtóry tego wieczora.

SZLACHCIC 3.

Cóż chcesz? Człowiek, z którym rozmawialiś skawie książę i księżniczka, wart jest portretu jego pendzla.

SERA (w ukłonach do Carrara. Dolatują wyrazy).

Twarz św. Jerzego... Taka postać... Wasza miłość... Jedno króciuchne... Archanioł Michał... W całej Italii nikt...

SZLACHCIC 2 (do towarzyszy).

Coś go Francuz opryskliwie zbywa

SZLACHCIC 6.

Muzyka znowu gra do tańca: żwawo panowie! Do roboty! (Wychodzą).

LODOVICO LESCHI (wchodząc z Lucią).

I będziecie mnie kochali bezgranicznie, wiernie i stale?

LUCIA.

Pytajcie o to cyganek, bo ja wróżyć nie umiem.

LESCHI.

Piękna odpowiedź człowiekowi, któryby chciał, byście go kochali więcej, niż wszystkich na świecie.

LUCIA.

Jakże mam kochać tych wszystkich?

LESCHI.

Jak każe przyzwoitość.

LUCIA.

Niestala to pani, której zachcenia zmieni przestąpienie progu lub zdmuchnięcie lampy. Gdybym miała męża tak zmiennego, przerobiłabym piosnkę króla Franciszka.

LESCHI.

Kochajcie więc bliźnich swych tak, jak każe religia.

LUCIA.

Kogoż za bliźniego mam uważać?

LESCHI.

Oceńcie cnotę moją: nawet na balach katechizmu uczę. Bliżnim jest każdy człowiek.

LUCIA.

Mamże męża mieć też za człowieka?

LESCHI.

Naturalnie. Cóż za pytanie.

LUCIA.

Niewolno mi więc będzie czynić różnicy między nim a każdym innym mężczyzną?

LESCHI.

Chęci nasze przeciw nam się zwracają. Kochajcie mnie więc jak umiecie i chcecie.

LUCIA (z ukłonem).

Rozkaz wasz—jest mi prawem. (Odechodzi)

LESCHI.

Już chcecie uciec odemnie?

LUCIA.

Miłość zaś wasza za mdła jest, by mnie gonić chociażby do drugiego pokoju.

LESCHI (idąc za nią).

Żywicie ją lichy, samemi ostami, gonilaby was jednak choćby do brzegów Lety.

LUCIA (zatrzymując się i zwracając do niego).

Znaleźlibyście Letę w szklance wina, gdyby mię nietylko Charon na pola Elizejskie, lecz pani moja - do Ferraty chociażby zabrała.

LESCHI.

Pocóżbyście mieli do Ferraty jechać? Cóżbym zrobił z domem i ziemią? Zresztą wziąłbym to za dowód, że więcej cenicie księżniczkę, niż mnie.

LUCIA.

Czyż wątpiliście dotychczas o moim rozumie?

LESCHI.

Jakto?

LUCIA.

Takich, jak wy, znajdę wszędzie na tuziny, księżniczka zaś taka—jedna na świecie.

LESCHI.

Ależ nikt w świecie nie potrafiłby wam dać tyle miłości, co ja!

LUCIA.

Mogłoby się złożyć kilku.

LESCHI.

Och, gdybyśmy się całe życie mieli klucz tylko językami, byłbym zawsze ja kluty i wy górą. Na złość pojedę za wami choćby do Ferraty.

LUCIA.

A do Francji—to już nie? (Idzie znów)

LESCHI (idąc za nią).

Raz się ruszywszy z Moleny — choć do Indji Wschodnich. Wolałbym nawet, niż do Ferraty, bo nie znając języka, nie balamucilibyście chłopców tamtejszych.

LUCIA.

Może kochać po indyjsku łatwiej jest, niż mówić. (Wychodzą)

KSIĄŻE (wchodząc, do Lapięgo)

Wesół był przecie, jak młody psiak: chciał się zagłuszyć niby! Żeby mi kto w łeb strzelił, nie zrozumiem, co go za mucha raptem ugryzła. „Przepraszam, kuzynie, ale głowa... serce... niepokój o drogą

matkę“... Niech dyabli porwą tę małpę. Domyślasz się?

LAPI.

Domyśleć się byłoby trudno, ale wiem.

KSIĄŻE.

Czemuż więc milczysz? Gadajże do licha!

LAPI.

Wierny sekretarz księcia Ferraty doręczył mi przed chwilą kopię dziś wieczorem otrzymanego listu ojca do syna.

KSIĄŻE.

No? no?!

LAPI.

Jego wysokość...

KSIĄŻE (niecierpliwie).

Do dyabła z tytułami: gadaj prędzej.

LAPI.

Książę Ferraty donosi synowi szczegółowo o naszych kłopotach, dzieli się złością przeczuciami i nakazuje sprawę starania się o rękę księżniczki naszej puścić w odwłokę.

KSIAŻE.

Domyslałem się jakiegoś galganstwa w tych bzdurstwach sentymentalnych.

LAPI.

Zdrowa księżna matka leży gwoli polityce w łóżku...

KSIAŻE

Ach, żebym był wiedział wcześniej, przeczuł...

LAPI.

List ów zapowiada też bliską wiadomość o pogorszeniu wraz z rozkazem niezwłocznego powrotu.

KSIAŻE.

Na sakrament, źle widać z nami. A ten błazen zdawał mi się zakochanym.

LAPI.

Według słów sekretarza zmartwił się tym obrotem sprawy i wzdychał, czy nawet płakał.

KSIAŻE.

Ale do głowy nie przyszło jedynaczkowi sprzeciwić się. Mazgaj! Pal go licho. Robiłem, co mogłem, ale znam starego lisa i niewiele nań rachowałem. Boli mię tylko to upokorzenie. (Wskazuje w sali

balowej przez drzwi Carrara i Biankę) Patrz, jak ta mała bałamuci Francuza. To polityk - dziewczyna. Jakby wiedziała, że ta bestya dyabło mi się może przydać. Ach, na milion dyabłów! Dałbym pomimo swojej biedy tysiąc dukatów za to, żebym się był domyślił i sam dał odprawę tej la'ce bezmyślnej z Ferraty.

LAPI.

Jej wysokość zato i w tem złożyła dowód zmysłu politycznego, jak to zwać raczy wasza wysokość, jakby bowiem przeczuła inny wiatr z Ferraty.

KSIAŻE

Jakto? O Biance mówisz?

LAPI.

Przed godziną przechodząc z Comalim, słyszałem, jak mówiła do tego księcia, że żyje tylko jego nieobecnością.

KSIAŻE.

Co? Ta błaznica mu to powiedziała? Niechże ją wszyscy dyabli!... Co on jej mógł takiego zrobić? Moja krew! moja krew! A takie to niby ciche, takie potulne, takie anielskie.. (Nagle, uderzając go po ramieniu). A ty chytrusie stary! Jeszcze mi będziesz

minę zdziwioną robił? I ty, dziadzie, kochasz się w tej czarodziejce. Od czego zaczął! Gdyby mi kto szepnął był o tem wprzód, wściekłbym się był chyba.

LAPI.

Prosiłem Comarliego, żeby zaczekał.

KSIAŻĘ.

Grasz na mnie, jak na organach. Dlatego to biedactwo tak błagalnie mi w oczy patrzy. A żeby ją krajać na kawałki tępym nożem, nie ustąpiłaby: moja krew! Jak z tym pacholkiem stajennym. Nikt mi chyba nie zarzuci braku grozy, a takem ją wtedy ofuknął za to głupie wstawiennictwo. Najśmielsza uciekłaby z płaczem, a ta... przy całym dworze.. Cóż było robić? Kopnąć czepiające się nóg stworzenie uparte? Myślałem, że oszaleję z wściekłości, ale musiałem... Ile razy spojrzę na to bydlę, co mi najlepszego konia zmarnowało, dyabli mnie biorą. Dałbym rok życia, żeby go zobaczyć w krawacie z powroza, ale się boję. Wciąż się o niego dowiaduje, chodzi konie oglądać i gotowaby się sama powiesić, gdybym... I muszę cierpieć... na własnym zamku... Ale pójdę uścisnąć tego dyabła anielskiego, czy anioła dyabelskiego: ocaliła naszą godność. (Idzie w głąb)

LAPI (idąc za nim).

A szkody żadnej, jeżeli bowiem wygramy, wróci to książątko ślamazarne z lepszymi dla nas warunkami, w każdym zaś razie znana ostrożność powstrzymałaby jego wysokość księcia Ferraty od oświadczenia się wyraźnego za którąśkolwiek ze stron. (Wychodzą)

DOWMUNT (wchodzi z Carrarem; wskazując przesuwającą się Biankę).

Więc to jest siostra tego zabitego przez ciebie księcia? czegożes się zachnął? Jesteś cały wieczór taki nieswój. Niema tu twojej niebogi?

CARRARO.

Ach, jest, jest!

DOWMUNT.

Cóż tak smutno? Czy innemu w oczy zagląda?

CARRARO (szeptem załamując ręce)

To ona... księżniczka sama...

Biała gołąbka. Tygod. bezp. dod. do „Gazety Polskiej”

DOWMUNT.

O-o-o! (Po chwili) Cóż się masz gryźć? Wyrzuć dziewczkę z myśli i basta!

CARRARO (chce odpowiedzieć; ale tylko ze złością machnąwszy ręką, odchodzi).

DI MASSA (zbliżając się doń).

Słuchajcie. Mówilem z nią. To anioł! Gdybyście panowali nad całym światem, cenniejszego daru za największe nawet usługi... Co za szczęście, że świątynia waszego serca ma już swoją arcykapłankę.

CARRARO (odwraca się gwałtownie i odchodząc w głąb).

Zapewne, zapewne.

DI MASSA (idąc za nim).

Tymczasem wasze słowo będzie mi skarbem najdroższym — na równi z jej spojrzeniem i słowem.

BAPTISTA i VALENTINO (wchodzą).

BAPTISTA.

Odkiedy żyję, nie widziałem tyle hołoty na

zamku. Zbieranina z dróg rozstajnych, jak w piśmie świętem stoi...

VALENTINO.

I czasem byle szlachetka w kaftanie przytartym tak drze przed tobą nosa do góry, tak rozkazuje, jakby miał największe dobra w kraju.

BAPTISTA.

O największych dobrach kraju tu się nie mówi... (Poziwa) A jeden taki golec zje i wypije za pięciu panów prawdziwych. Bo to na Wielkanoc ma gorzej, niż ja w dzień powszedni.

VALENTINO.

Cóż ty, istoto bezduszna, na balu poziewasz? Niewesoło ci jeszcze tańczą?

BAPTISTA.

Bodajby im dyabli po brzuchach tak tupali, jak oni po tej podłodze. Człowiek harował trzy doby, a tu (poziwa) przespać się nawet nie dadzą.

VALENTINO.

Wcześniej jeszcze przecie.

BAPTISTA.

Jeżeli już człowiek ani w głowie, ani w żołądku
pomiarkowania czasu nie ma... Patrz, jego wysokość
już się przemyka: zakład, że do syna.

VALENTINO.

Co? Miałyby już być północ? A prawda! Może.

BAPTISTA.

Oho, idzie już paczka takich. Uciekajmy, bo to
albo się rozbijać będą, albo. co gorzej, gotów który
którego z nas zapamiętać i wstydu potem narobić na
mieście, witając się, niby znajomy.

(Zastona).



KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

86410
~~80059~~/1

Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:
kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

- St. Kozłowski* „**Taboryci**”, dramat w pięciu aktach tom 1
- T. T. Jeź* „**W Zaranii**“, powieść tomów 3
- E. Goncourt* „**Bracia Zemganno**“ tom 1
- T. Padalica* „**Powieści Ukraińskie**“ „ 1
- Edm. Rostand* „**Cyrano de Bergerac**“, komedia
bohatera w przekładzie M. Konopnickiej
i Włodz. Zagórskiego tomów 2
- Irena Mrozowicka* „**W płytkim prądzie**“ . . . tom 1
- Jonas Lie* „**O Zachodzie**“, powieść norweska „ 1
- Klementyna z Tańskich Hofmanowa* „**Krystyna**“ tomów 2
- H. Andersen* „**Bajki i Opowiadania**“ tom 1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

- Józef Bliziński* „**Obrazki**“ tom 1
- Artur Gruszecki* „**Szarańcza**“ powieść na
tle stosunków szlaskich tomów 3
- Juliusz Breton* „**Artysta**“ (Savarette) tom 1
- Jan Lam* „**Wielki Świat Capowic**“ tomów 2
- „**Głowy do pozłoty**“ tomów 4
- J. W. Goethe* „**Reineke-Lis**“ tom 1
- Stanisław Pilecki* „**Dwa głosy**“ tom 1

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb. 2.40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale II-gim roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Marya Konopnicka</i> „ Pod prawem “ powieść	tom	1
<i>Teofil Lenartowicz</i> „ Poezye “	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „ Nowele “	tom	1
<i>Adolf Dygasiński</i> „ W Kielcach “ opowia- dania i uwagi o czasach szkolnych	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „ Nowele “	tom	1

Nowo przybywający abonenci otrzymują niezwłocznie wszystkie te dodatki.

Zwracamy uwagę na poprzednią stronę.